MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 31. WARSZAWA, 22 LIPCA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

CHŁOPI W OBOZIE NARODOWYM

JAN LUDWIK POPŁAWSKI w pierwszym numerze „Głosu" warszawskiego w r. 1886 napisał, iż interesy innych warstw muszą być podporządkowane ludowi a zarazem przedstawił wartości dla całego narodu odrębnej kultury ludu. Jeżeli przypatrzymy się przeobrażeniom, jakie przeszło społeczeństwo polskie od tego czasu, a nawet dzisiejszym zjawiskom społecznym w Polsce, to przyznamy słuszność tym poglądom J. L. Popławskiego. Zresztą cały ruch demokratyczno-narodowy oparł się w swojej pracy na tym poglądzie. Kierunek wszechpolski wyznawał, iż niepodległość państwową naród polski zdobędzie w sprzyjających warunkach międzynarodowych, jeżeli wytworzą się nowe siły z warstw ludowych. Wyraz dają tym poglądom liczne publikacje i wszytkie programy stronnictwa demokratyczno-narodowego. Praca więc wśród mas ludowych obozu narodowego nie jest zjawiskiem nowem, ale istnieje od początku istnienia ruchu.

W pierwszym programie z r. 1897 czytamy: „Równouprawnienie społeczne ludu jest dla nas nie mniej ważnym celem, jak wzrost sił narodowych oraz uzyskanie odpowiednich warunków dla pełnego rozwoju narodowego życia, że zaś z przenikaniem świadomości społecznej i politycznej w masy ludowe idzie w parze narodowe ich uświadomienie, z ich udziałem zaś w sprawach publicznych wzrasta napięcie narodowego życia, przeto uważamy, iż w dzisiejszym układzie stosunków społecznych i politycznych interesy ogólne ludu są równoznaczne z interesami narodu. Stawiamy więc w społecznych dążeniach naszych na pierwszem miejscu interesy duchowe i materjalne warstw ludowych, podporządkowując im, gdzie tego potrzeba, interesy warstw innych". Ten stosunek do warstw ludowych wynikał nie z radykalizmu społecznego, ale z widzenia interesu narodowego.

Ma się rozumieć, iż kierunek narodowy w pracy swojej musiał kłaść nacisk przedewszystkiem na warstwę włościańską, bo ona przedstawiała i przedstawia największą liczebną siłę, a przytem jest podwaliną i miazgą narodu. Przez nią naród nieustannie się odnawia, z niej bierze świeże soki żywotne dla warstw kierowniczych, ona nietylko fizycznie i moralnie odmładza naród, ale także jest źródłem nowych myśli i twórczości we wszystkich dziedzinach. Nasz demokratyzm — to nie „demokracja" w rozumieniu ustrojowem, ale to wynik światopoglądu narodowego, czy „nacjonalistycznego". Nic też dziwnego, iż w pracę nad związaniem ludu wiejskiego z czynnem życiem narodu ruch narodowy włożył wiele wysiłków. Tajne Towarzystwo Oświaty Narodowej, „Polak", praca w organizacjach rolniczych, a również oświatowych, jak Towarzystwo Szkoły Ludowej i Macierz Szkolna, wreszcie zaś organizacja polityczna — oto tereny pracy narodowej wśród włościan. Pracę tę prowadzili narodowcy we wszystkich dzielnicach dawnej Rzeczypospolitej, a także wiele uwagi i wysiłków poświęcano emigracji polskiej w Ameryce Północnej i Południowej. Wysiłki te dały rezultaty i im w znacznej części zawdzięczamy, iż naród polski w czasie wielkiej wojny zajął dobrą postawę polityczną i stanął przeciwko Niemcom.

Praca ta zdecydowała także o rozwoju ruchu narodowego. Były okresy przed wojną, w których szerokie masy chłopskie wzięły czynny udział w obozie narodowym, o czem świadczy rok 1905 i wybory do wszystkich dum w Petersburgu. Tuż jednak przed wojną zaczęły wśród włościan brać górę stronnictwa klasowe o charakterze radykalno-chłopskim. Powstanie niepodległej Polski w okre-

sie fermentu rewolucyjnego ułatwiło tym stronnictwom, już w państwie polskiem, agitację wśród włościan. W następstwie zmniejszyły się znacznie wpływy kierunku narodowego wśród szerokich mas włościańskich na rzecz stronnictw klasowych. Tylko w pewnych częściach Polski włościanie w olbrzymiej przewadze pozostali w dalszym ciągu w szeregach narodowych. Wielkopolska i Pomorze, Podlasie i okręgi północne, jak łomżyński, mławski i t. d. — oto okolice, w których chłopi nigdy nie zrywali z programem narodowym. Wprawdzie i na innych terenach pozostali wśród włościan liczni nasi zwolennicy, ale nie były to już zwarte masy. Zupełnie zaś opanowali ludowcy, rozmaitych odcieni, włościan w południowej lubelszczyźnie i w województwie kieleckiem, a także w województwie krakowskiem. Po roku 1926 wystąpiła na widownię również „sanacja", ale jej wpływy należą do rzędu innych zjawisk. Miną rządy obecne, znikną również i wpływy Be-Be na wsi.

W ostatnich jednak kilku latach widać wśród włościan, i to rozmaitych stron kraju — nawrót do obozu narodowego. Z początku ujawniało się to tu i ówdzie, w ostatnim jednak roku przybrał ten napływ chłopów do Str. Narodowego, zwłaszcza w niektórych okolicach, poprostu masowe rozmiary. Daje się to zaobserwować zwłaszcza w tych właśnie powiatach, gdzie ruch narodowy na wsi był nadzwyczaj słaby, jak w południowej części woj. lubelskiego, w okolicach Częstochowy i w pewnej części województwa kieleckiego, a także i w województwie krakowskiem. Jeżelibyśmy jednak chcieli ściśle teren tego zwrotu ku obozowi narodowemu nakreślić, tobyśmy musieli powiedzieć, iż właściwie w całej Polce nastroje włościan zwracają się ku niemu. Nie wszędzie jednak one zostały ujęte w formy organizacyjne, ponieważ w niektórych okolicach brak jest poprostu ludzi do kierowania pracą organizacyjną wśród szerokich mas.

Tempo napływu włościan w szeregi narodowe wzmogło się znacznie po wyborach gromadzkich, które przeprowadzono znanemi metodami. Te wybory tylko przyśpieszyły pracę. W wyborczym okręgu zamojskim jeszcze przed wyborami uwodocznił się wzrost wpływów narodowych, a przecież ten okrąg w lubelszczyźnie nie wybrał do wszystkich Sejmów ani jednego posła z tego obozu. Takiż napływ włościan pod sztandary narodowe widać w opoczyńskiem, w kaliskiem, w koneckiem i w radykalnych dotychczas powiatach województwa łódzkiego. Na zjazdach i na kursach, na zebraniach i wiecach włościanie manifestują swoje przekonania narodowe i dają do zrozumienia, iż tylko potężny ruch narodowy będzie — ich zdaniem — zdolen przekuć obecną rzeczywistość polską na nową i lepszą.

Czemże należy tłumaczyć sobie ten napływ włościan do obozu narodowego? Dwoma zjawiskami: 1) bankructwem ludowców i niechęcią szerokich mas włościańskich do „sanacji"; 2) tem, że hasła i zasady narodowe coraz mocniej przemawiają do wyobraźni mas ludowych. Wpływy ludowców zmniejszyły się, ponieważ ich demagogja klasowa nie zaspokaja już włościan, a pozatem nie wierzy się im już, ponieważ wielu posłów i działaczy ludowych przeszło, ze względów czysto materjalnych, do obozu rządowego.

Zresztą na to pytanie dał — jak się zdaje — najlepszą odpowiedź jeden włościanin w Lublinie w tych mniej więcej słowach: „Pytacie się, dlaczego chłop garnie się do obozu narodowego? A przecież to takie proste. Przez tyle lat karmili nas tylko słowami: „księża i pany". Mówiono nam, iż poniewierce chłopskiej jest winien dwór i ksiądz. Teraz jednak przekonaliśmy się, iż to nie prawda. Rozparcelowanie nawet wszystkich majątków pańskich i kościelnych nie usunie przeludnienia wsi. Dolę wsi można poprawić tylko przez przebudowę ustroju gospodarczego i społecznego całego narodu. Będzie lepiej chłopu na wsi, gdy dzieci nasze pójdą do miast i zajmą miejsca żydów, gdy na wsi rozwinie się drobny przemysł wiejski. Gdy państwo będzie prowadziło dobrą politykę gospodarczą i ogólną. Przedewszystkiem zaś, my chłopi, podzielamy zupełnie zdanie narodowców, iż naród polski powinien być pełnym władcą w swojem państwie".

JÓZEF PETRYCKI

DROGA ROZWIĄZANIA KRYZYSU

Zastanawiając się nad źródłami dzisiejszego kryzysu, dochodzą uczeni, publicyści, politycy do najrozmaitszych, często między sobą niezgodnych teoryj, mających wyjaśnić istotne jego źródła. Niewątpliwie dużo jest słusznych spostrzeżeń w sprzecznych nawet teorjach, niewątpliwie na stan dzisiejszy składa się cały szereg najrozmaitszych przyczyn. Mimo to większość teoryj nie trafia w sedno rzeczy, większość przyczyn, wskazywanych przez te teorje, ma znaczenie tylko poboczne. Głównem zaś źródłem dzisiejszej nędzy, naogół niedocenianem, jest załamywanie się dzisiejszego ustroju wielko-kapitalistycznego, co z kolei rzeczy jest częścią większej katastrofy, jaką przeżywają we wszystkich dziedzinach życia współczesne społeczeństwa europejskie, które swe życie zbudowały na indywidualistycznych zasadach Wielkiej Rewolucji.

Życie społeczne, w szczególności gospodarka społeczna, nie może się odbywać chaotycznie, bez ładu. Jeżeli społeczeństwo niema się pogrążyć w anarchji, musi istnieć ład, konsekwentnie w praktyce realizowany. Sposoby realizowania tego ładu mogą być dwojakiego rodzaju. Albo w zbiorowości są tak silnie zorganizowane instynkty społeczne, że one samorzutnie będą pchały społeczeństwo we właściwym kierunku, albo też, gdy te instynkty zawodzą, będzie musiało wkraczać państwo, stosując, będące do jego dyspozycji, środki przymusowe. W praktyce zawsze stosowane są obok siebie obydwa sposoby realizowania ładu.

Taka „planowość" w życiu zbiorowem istniała w Europie przed procesem społecznym, który rozpoczął się w wieku XVIII pod wpływem ówczesnej filozofji racjonalistycznej Proces ten wysunął na czoło jednostkę, stawiającą sobie za cel własną ko-

rzyść materjalną. Zadaniem państwa stało się zapewnienie zupełnej wolności jednostce przez usunięcie wszelkich więzów, jakieby ją mogły krępować, a więc tem samem zniszczenie instytucyj o charakterze publiczno-prawnym, które krępowały jednostkę nietylko więzami natury prawnej, ale też i natury moralnej, wynikającemi z długotrwałych tradycyj. Musiało to doprowadzić do tego, że głównym celem ogromnej większości, wchodzących w skład społeczeństwa jednostek, stało się osiągnięcie możliwie największej korzyści materjalnej, a społeczeństwo, jako całość, zostało pogrążone w anarchję.

I ten właśnie proces historyczny doprowadził, bo doprowadzić musiał, do dzisiejszego kryzysu, którego częścią składową jest dzisiejszy kryzys gospodarczy. Istotnem jego źródłem jest panująca obecnie anarchja, wynikająca ze zniszczenia instynktów społecznych i zdemoralizowania ludzi. W tem właśnie, a nie we wszystkich innych faktach natury gospodarczej, niewątpliwie mających pewien wpływ na sytuację dzisiejszą, ale drugorzędnych, tkwi najgłębsze, istotne źródło kryzysu.

I dlatego jedynym sposobem zlikwidowania dzisiejszego kryzysu jest zastąpienie dzisiejszej anarchji nowym ładem. Wszelkie inne sposoby, natury ściśle gospodarczej, będą tylko paljatywami. Mogą one conajwyżej doprowadzić do lekkiej, chwilowej poprawy. Owoce tej poprawy będą jednak szybko zniszczone przez szalejącą dziś anarchję. Dopóki nie potrafimy zmienić dzisiejszego człowieka dopóty wszelkie inne próby muszą zawieść.

Stworzenie nowego ładu może nastąpić jedynie w drodze ponownego zorganizowania instynktów społecznych. Zorganizowanie i odrodzenie instynktów społecznych nie obejdzie się bez stosowania przymusu. Pociąga to za sobą konieczność mniejszej lub większej ingerencji państwa w życiu społeczne, a w życie gospodarcze w szczególności.

Zaprowadzenie nowego ładu — zorganizowanie instynktów społecznych może nastąpić jedynie przez objęcie władzy przez kierunek polityczny, zdający sobie sprawę, jak ten nowy ład ma wyglądać i w jaki sposób na nowo należy organizować instynkty społeczne. Takie próby są obecnie realizowane w niektórych państwach Europy. Mogą one się odbywać zgodnie z tradycjami narodowemi, jak socjalizm narodowy czy faszyzm, lub wbrew tym tradycjom, jak bolszewizm, mogą one przyczynić się rzeczywiście do powstania nowego porządku, lub też mogą nie sprostać stawianym sobie zadaniom, w każdym bądź razie są one na szerszą skalę próbami zlikwidowania kryzysu gospodarczego. Wszystkie zaś inne poczynania uznać należy za bezpłodne dreptanie na miejscu.

Likwidacja kryzysu może w Polsce nastąpić jedynie przez objęcie władzy przez obóz polityczny, mający ambicję dokonania gruntownej przebudowy i zdający sobie sprawę, w jaki sposób tej przebudowy należy dokonać. W okresie przejściowym nędza i bieda może być nawet większa, niż jest dzisiaj, społeczeństwo będzie jednak podtrzymywane świadomością, że kroczy może powoli, ale konsekwentnie, również i ku poprawie gospodarczej.

J. PRUS

FRANKIŚCI W EPOCE INSUREKCJI

JUŻ w pierwszem pokoleniu zaczęli frankiści (wszedłszy do społeczeństwa) rozkładową działalność wewnątrz narodu polskiego. W myśl nakazu swego przewódcy, nowochrzczeńcy starali się rzucić zarzewie nieporozumienia między Polakami. Nowa szlachta neoficka rozpoczęła nieubłaganą walkę z warstwą przodującą w Polsce. Istniejąca dawniej już organizacja mechesów, zasilona nowym dopływem przystąpiła do stanowczej rozprawy z tuziemcami. Trzeba było śpieszyć się: szlachta polska okazała w przeddzień upadku państwa znaczną tęgość ducha i ofiarny patrjotyzm. Sejm czteroletni złożony był niemal wyłącznie z szlachty folwarcznej, po większej części średniozamożnej. Wywróciła ona w Rzeczypospolitej panowanie sprzedajnego możnowładztwa, zawarła przymierze z mieszczanami i okazała gotowość do pewnych ustępstw względem włościan.

Widać było frankistów wszędzie. Jako wybitni politycy zapełniali ławy poselskie, nie brakowało ich na dworze królewskim, słynęli z bogactw i znaczenia w większych miastach kraju. Dotarli neofici do zakładów wychowawczych. Starali się oni o urobienie młodzieży w odpowiednim duchu. Działalność ich jednak budziła w społeczeństwie polskiem wiele zastrzeżeń. Skarżyła się zamożniejsza szlachta na Emanuela Wolffa, generalnego sztab-medyka wojsk Rzeczypospolitej Polskiej, późniejszego presbytera gminy kalwińskiej i na ks. Stefana Lewińskiego, zarządzającego djecezją łucką (wychowanek Stanisława Augusta). Nie cieszyli się też zbytnim mirem frankiści w zaściankach szlacheckich.

Złowrogi wpływ neofitów zaciążył specjalnie na losach naszej Ojczyzny w ostatnich latach niepodległości. Niedarmo zamiarem Franka w owym czasie było stworzenie dla żydów samodzielnego państwa na terytorjum Polski.

Zwolennicy jego rozwinęli ożywioną działalność. Podczas sejmu czteroletniego zasiadali na ławach poselskich: Szymanowscy, Orłowscy, Jasińscy, Józefowicze-Hlebiccy (wywodzący się od Michela Ezefowicza), Wojciech Turski i inni. Byli to ludzie bardzo zamożni, piastujący godności szambelanów królewskich, kasztelanów, starostów, podkomorzych i cześników. Im zawdzięczali Izraelici skuteczną obronę podczas rozruchów antyżydowskich w Warszawie, które wybuchły w okresie sejmu czteroletniego. Posłowie litewscy, wśród których znajdowało się wielu kryptożydów, oświadczyli się za synami Jakóba, gdy tymczasem pozostali wzięli w obronę mieszczan. Szlachta frankistowska obsadziła wszystkie stronnictwa sejmowe. Widzimy ją w stronnictwie patrjotycznem, wśród radykałów, tchnących zasadami rewolucji francuskiej, i w partji magnackiej. Ażeby odwrócić od siebie uwagę społeczeństwa rdzennie polskiego, starali się frankiści podtrzymać istniejące różnice

między walczącemi stronnictwami, pogłębiając swoją demagogją nieporozumienia między szlachtą polską.

Gdy stronictwo patrjotyczne, w którego skład m. in. wchodził poseł sochaczewski, regent koronny Franciszek Szymanowski (wierny stronnik Rosji), korzystając z nieobecności znacznej liczby posłów opozycji, przeprowadziło ogłoszenie Konstytucji 3-go maja, wielu nowochrzczeńców w sejmie stanęło odrazu w szeregach zaciekłych zwolenników dawnych swobód szlacheckich. W liczbie wybitnych działaczy konfederacji targowickiej znajdowali się Pawłowscy, Piotrowscy, Majewscy, Wincenty Józefowicz - Hlebicki, Jasiński i Orłowski, ludzie możni i wpływowi. Przebiegli neofici, wśród których najniebezpieczniejszym okazał się poseł z Podola, Orłowski, ukryci za plecami ograniczonych magnatów, doprowadzili do zbrojnej interwencji rosyjskiej i wielkiego rozgoryczenia społeczeństwa, które zaczęło szukać głównych winowajców nieszczęścia.

Nie omieszkali wykorzystać tego frankiści, działający wśród radykałów polskich. Na rozkaz zgóry, tysiące kryptożydów, rozsianych po całym kraju, rozpoczęły ożywioną agitację przeciwko widomym przewódcom Targowicy. Nazwiska Potockich, Branickich, Rzewuskich i Kossakowskich stały się symbolem zdrajców Ojczyzny. O frankistowskiej szlachcie, popierającej konfederację targowicką i agitującej za Rosją, przez którą byli dobrze opłacani, zapomniano celowo. Niedarmo pod koniec kwietnia 1789 r. Frank mówił do swoich uczniów: „Nie obawiajcie się, lubo będzie rozruch między nimi i wszyscy panowie drżeć będą, nie obawiajcie się ani ich, ani rozruchu, tylko czyńcie, co wam rozkażę" (Kraushar: „Frank i Frankiści", t. II, 128).

Po drugim rozbiorze miała Polska istnieć nie dłużej, jak kilka miesięcy. Wczytując się w pamiętniki ówczesnych działaczy oraz w dotychczasowe opracowania różnych historyków, ustalić trzeba, że zawiązek konspiracji kościuszkowskiej przypadł pod koniec maja 1793 r. Utworzony został komitet, mający kierować ruchem zbrojnym. W skład jego wchodzili: Ignacy Działyński (nazwisko wymienione przez Graetza — „Historja Żydów", t. VIII, s. 185 — jako frankistowskie), Eljasz D'Aloe, dygnitarz masoński i płatny szpieg rosyjski Bars, Andrzej Kapostas, reprezentujący wpływy judaizmu w ówczesnem wolnomularstwie polskiem i inni.

Redukcja wojska koronnego i litewskiego spowodowała wybuch powstania. Powodzenie Tadeusza Kościuszki w bitwie pod Racławicami przyśpieszyło wypędzenie Moskali z Warszawy. Dnia 18 kwietnia stolica była wolna. Władze powstańcze rozpoczęły swe rządy od zapewnienia miastu spokoju wewnętrznego. Nie spodobało się to polskim radykałom, na których czoło wysunął się w owym czasie Jan Dembowski, bliski krewny Franciszka „Jemerdskiego" Dembowskiego (Jeruchama), jednego z najbardziej zaufanych chachama Franka. Za jego pośrednictwem „polityczny mesjasz upadającej Polski" ustalił jakgdyby termin rozpoczęcia walkt zbrojnej. Jan Dembowski bowiem przyjechał na początku marca 1794 roku do Drezna z oświadczeniem, że wojsko dłużej nie będzie czekać na Kościuszkę i samo rozpocznie powstanie.

Dembowski, o którym pisze Tokarz („Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 r.", str. 246), że „był zawsze dobrze poinformowany, co Moskale poczynać zamierzali", widząc, iż tłumiona przez Targowicę nienawiść mas do sprawców nieszczęść wezbrała, zaczął wraz z zaufanymi głosić hasła rewolucji francuskiej. Zachęta do terroryzmu znalazła wśród znękanego ludu stolicy echo przychylne. Przy sypaniu okopów, na rogach ulic i placach rozogniano umysły przeciwko zdrajcom. Zaprawiony do tej roboty, bierze Dembowski czynny udział w szerzeniu fermentu i podniecaniu rzemieślników Starego Miasta, których przychylność starał się pozyskać. Wielce mu byli pomocnymi m. in. Józef Piotrowski, były podchorąży gwardji pieszej, osobnik karany za kradzież i dezercję i Jasińscy, spokrewnieni z Józefem Muszyńskim, sądzonym za szpiegostwo. Wysyłani na ulicę przez Dembowskiego agitatorzy, szerzyli bezustannie ferment, podniecając tłumy okrzykami: „Ojczyzna chce kary na zdrajców", „niech żyje rewolucja". Z agentami Dembowskiego współdziałały masy nowochrzczeńców, zamieszkujące Warszawę. Napróżno władze nakazały zamknięcie wszystkich szynków, utrzymywanych przez frankistów, w których raczono bezpłatnie pospólstwo wódką i podjudzano przeciwko szlachcie.

Szerzona gwałtownie agitacja musiała doprowadzić do rozruchów ulicznych. Frankiści bowiem chcieli odwrócić uwagę mieszczaństwa polskiego od siebie. Na ulicach stolicy zaczęto głośno mówić o zdradzieckiem zachowaniu się neofitów. Mieszczanin Niewiarowski oraz Kostecki wydali pismo, w którem pomstowano na przechrztów, zarzucając im przechowywanie Moskali po piwnicach. Opinja publiczna jawnie oskarżała kupców frankistowskich, że ukrywają towary i wzmagają w ten sposób drożyznę. Zarzut okazał się słuszny. Zainteresował się tą sprawą magistrat, któremu radny miasta, wpływowy neofita, Józef Rzempołuski tłumaczył wyśrubowanie cen towarów pierwszej potrzeby dotkliwemi ciężarami, spadającemi w ostatnich czasach na kupców. Doszło do tego, że nawet „Deputacja Indagacyjna", w której skład wchodziło wielu frankistów, powołana przez Radę najwyższą do sądzenia szpiegów, wypowiedziała się ostro przeciwko zachowaniu się neofitów. Znana była sprawa wychrzty Muszyńskiego o szpiegostwo (jedna z wielu wytoczonych frankistom) oraz świadectwa jego sąsiadów, dające miarę niechęci ludności do nowochrzeńców. Z frankistami łączyli się żydzi, zajmujący naogół stanowisko wrogie wobec nadchodzącej walki. Starszyzna żydowska, stanowiąca liczny, oświecony i wpływowy odłam tej ludności, tworzyła wówczas niejako partję rosyjską wśród żydów warszawskich, podejrzewaną o szpiegostwo.

Za przykładem warszawskich żydów szli ich współwyznawcy litewscy. Znane są liczne fakty szpiegostwa na rzecz Rosjan. Żyd wileński Gordon doniósł pierwszy Tuczkowowi o grożącym wybuchu; pierwsze również informacje o powstaniu wileńskiem zawieźli żydzi Cynyanowowi do Grodna. Wiadomości o przygotowaniach powstańczych w Mińszczyźnie udzielił Tutołminowi już w maju żyd z Miadzioła, Mowsza Szmujłowicz, który również zadenuncjował obywateli tamtejszych: Zienkowicza, szambelana Oskierkę, Wańkowicza i innych. W czasie bitwy Sierakowskiego z Suworowem pod Brześciem, we wrześniu 1794 r., żyd, podający się za delegata brzeskiej gminy żydowskiej, przywiózł sztabowi rosyjskiemu wiadomość, że

współwyznawcy jego oczekują rychłego przybycia Rosjan do Brześcia i ofiarują im swoje usługi; ponadto wskazał brody, powiadomił o szerokości Bugu i Muchawca i dostarczył wielu innych ważnych informacyj. Taką przychylnością dla wojsk moskiewskich zjednali sobie żydzi sympatję wodza naczelnego i późniejszego wielkorządcy, ks. Mikołaja Repnina, który często brał ich w obronę, świadcząc, iż „wszyscy żydzi litewscy wcale nie żywią współczucia dla buntu w Polsce, ale przeciwnie, w gorliwości swojej świadczą nam przysługi”.

Majowe i czerwcowe orgje w stolicy odwróciły uwagę społeczeństwa polskiego od dwuznacznego zachowywania się frankistów. Przypominały one wrześniowe mordy 1792 r. we Francji. Tłum, złożony w znacznej mierze z przestępców zawodowych, podburzany przez Dembowskiego, będącego za pośrednictwem Eljasza D'Aloe w stałym kontakcie z Moskalami, Bartłomieja i Dominika Jasińskich, Nowickiego i innych, mordował bez zachowania jakichkolwiek form sądowych; łączył posądzonych lub niewinnych z winnymi, rabując zarazem wieszanych. Gdy motłoch zajęty był budowaniem szubienic, Dembowski, który wskazywał odpowiednie według niego miejsca, kazał jedną wznieść na ulicy senatorskiej przed prymasowskim pałacem; miał w tem swój cel. Józef Piotrowski zaś, mianujący się wodzem pospólstwa, na koniu i w mundurze, co upewniało wszystkich, że ma za sobą poparcie wojska, prowadził wzburzony tłum do pałacu Brühlowskiego dla mordowania przybywających tam więźniów.

Za poduszczeniem neofitów tłuszcza otaczała też zamek królewski, napełniała dziedziniec zamkowy i pilnowała Stanisława Augusta, aby nie wyjechał. Często chrześcijanie, sprzykrzywszy sobie czuwanie, zostawiali straż Żydom.

Według planu Dembowskiego, za Warszawą miała pójść prowincja. Po miastach wojewódzkich miano utworzyć podobnież, jak w stolicy, rewolucyjne sądy. Spisywano już głowy, które winne były paść ofiarą. W mniemaniu radykałów stołecznych, to, co się zrobiło przez uliczne wieszania w Warszawie, było dopiero początkiem; skończyć się to miało straceniem króla. Brano się do tego powoli, stopniowo; przed królem miał zginąć prymas. Nagła, może przyśpieszona śmierć prymasa, udaremniła te zamiary i odaliła do czasu niebezpieczeństwo z ponad głowy królewskiej.

Co się tyczy Kościuszki, to miał on dosyć wichrzeń ulicznych i chciał położyć im koniec. Na jego rozkaz wojsko aresztowało podżegaczy, których surowo osądzono. Głównemu jednak sprawcy udało się uniknąć zasłużonej kary. Zawdzięczał to Dembowski wstawiennictwu Kołłątaja, przeciwko któremu, jak podaje Niemcewicz w swoich pamiętnikach, już po wypadkach podburzał on pospólstwo. Udał się Dembowski na półwysep apeniński, gdzie z czasem został generałem brygady w wojsku włoskiem.

W sferach rządowych, działających dotąd dosyć zgodnie, ostra reakcja Kościuszki na krwawe wypadki wywołała silne rozdwojenie, bardzo zgubne w swych skutkach dla sprawy powstania. Doszło do tego, że deputacji indagacyjnej odebrano prowadzenie śledztwa w sprawie wieszań czerwcowych. Stało się to ze względu na wpływy jakobińskie w gronie deputacji, których rozsadnikami byli członkowie-neofici (Józef Konderski, Józef Szymanowski, Przybyłowski i inni). Powstało nawet za sprawą Krysińskiego, pochodzącego z rodziny wielce zasłużonej dla frankizmu, stronnictwo, które chciało postawić na czele powstania Jakóba Jasińskiego zamiast Kościuszki. Radykałom polskim dogadzał bowiem człowiek, który według Ogińskiego („*Memoires de Michel Ogiński*” t. II. 67-68) chciał „wezwać lud do zrzucenia niewoli społecznej”. Bardziej umiarkowani uważali, że Jasiński nie był dobrze obeznany z rzemiosłem wojennem. Obawiali się oni pozatem, że skoro Jasiński zostanie naczelnikiem, zapanuje w Polsce jakobiński terror.

Krecia robota skrajnych żywiołów zachęciła Kościuszkę do energicznego aktu. Nie czując się jeszcze w opinji publicznej dość silnym, mniemał on, że potrzeba mu nowego zwycięstwa. Była po temu pora; Fersen posunął się zbyt blisko pod Warszawę. Był to wódz marny, żadnem zwycięstwem nigdy się nie odznaczył. Pobić go było łatwo, należało tylko uderzyć nań wszystkiemi siłami, które były pod ręką. Ale Naczelnik bał się skrajnych żywiołów, nie śmiał wyprowadzić wszystkiego wojska z Warszawy. Z drobną więc tylko garstką rzucił się na dwakroć silniejszego Fersena. Pobity, ranny i wzięty do niewoli, zniknął ze sceny dziejowej.

Chwila pożądana dla wichrzycieli warszawskich nadeszła. Chcieli teraz swoje plany wprowadzić w czyn. Rzucili oni hasło wyrznięcia rodziny królewskiej, szlachty i jeńców rosyjskich. Nadzieje ich rozwiały się jednak. Członkowie Rady Najwyższej, przestraszeni robotą radykałów, mianowali naczelnikiem Wawrzeckiego, którego sprowadzono czemprędzej z Litwy.

Skrajne żywioły w Polsce nie zrezygnowały jednak z walki. Następuje porozumienie z Izraelem Warrensem, żydem z Altony, redagującym w Paryżu niemiecką gazetę rewolucyjną. W październiku 1794 r. Warrens nadesłał komitetowi ocalenia publicznego obszerny memorjał, wykazujący konieczność wprowadzenia, przy pomocy Francji, zmian w kierunku dotychczasowych działań powstańczych w Polsce, a więc obalenia Najwyższej Rady Narodowej, ustanowionej przez Kościuszkę w Warszawie i poruczenia steru całego powstania ...„obywatelowi Sarmacie - Turskiemu, osobistości w Polsce ogólnie znanej, walecznej i nieustraszonej”. Projektodawca uważał, że „należy rozpalić raczej wojnę domową, aniżeli dopuścić, by się pokój ustalił; przygotować rewolucję celem zniszczenia doszczętnie despotyzmu królewskiego, feudalnego i klerykalnego“... Wiele pomóc mogłaby, zdaniem Warrensa, Turcja, gdyby zezwoliła na uformowanie oddziału powstańczego w Mołdawji przy współdziale Wojciecha Turskiego. Wieść o utworzeniu się nowego środowiska wojskowego, przybycie Turskiego z Francji, a przedewszystkiem pierwsza buntownicza głowa, która spadnie pod nożem gilotyny, wywołałyby — zdaniem projektodawcy — przewrót w umysłach ludu i spowodowałyby wypadki, które „ludzie, mało nawykli do śledzenia wpływów okoliczności postronnych na ducha narodów, z trudnością będą mogli zrozumieć”.

Turski też nie pozostawał bezczynnym, usiłując skaptować Szczęsnego Potockiego, do którego wystosował dn. 6 października 1795 r. list,

zapewniający, że „nie jest bynajmniej jego zamiarem rozniecić w Polsce zarzewie powstania na wzór rewolucji francuskiej"... Wichrzenia Turskiego, któremu wielce pomocnymi byli: brygadjer Wyszkowski, podejrzewany o zakopanie miljonowych sum, które użyczyła Francja Polsce, Lewkowicz, wybitny działacz na emigracji, którego Askenazy nazywa człowiekiem podejrzanym („Napoleon a Polska" t. I. 89) i Józef Majer, doprowadziły do nieszczęsnej wyprawy w czerwcu 1797 r. na Bukowinę, zakończonej śmiercią wielu patrjotów polskich. W wyprawie tej Turski nie uczestniczył, był bowiem zajęty wraz z Janem Dembowskim spiskowaniem przeciwko Kniaziewiczowi i Dąbrowskiemu. Dzięki Chłopickiemu, wówczas majorowi legji pierwszej, spisek nie ten się udał.

STANISŁAW DIDIER

UNIWERSALIZM — INDYWIDUALIZM — PERSONALIZM

UNIWERSALIZM „DZIEJOWOŚCI"

UNIWERSALIZM, któryśmy sobie dla krótkości nazwali „socjologicznym", przyjmuje (jak np. w teorji Durkheima), że społeczeństwo jest nadrzędną w stosunku do swoich członków osobistością[1]), powiada, że społeczeństwo nie jest sumą jednostek, ale czemś więcej, że ma swoje trwałe kierunki rozwoju, od jednostek niezależne, że tylko dzięki niemu jednostka ludzka jest człowiekiem. Z pewnością tak jest, — ale nie zmienia to faktu, że jedynym rzeczywistym elementem społeczeństwa, badaniu społecznemu dostępnym, jest konkretny, żywy człowiek i tylko w tej interpretacji znaczą coś historykowi fakty materjalne, że od woli i jakości tych żywych ludzi zależy ostatecznie wygląd i los społeczeństwa; że ludzie, biorąc ze społeczeństwa, równocześnie jemu daje z siebie i że nie znikąd inąd tylko z ludzi żywych i wolnych społeczeństwo bierze wszystko — (co nie obraża wcale wiary w Łaskę, bo ta też tylko poprzez *medium* indywidualnych dusz ludzkich może być objawioną). O „duchu narodowym" mówi się, jeżeli nie u żywych, aktualnych ludzi się objawiają tradycje narodowe, ale są zawarte w dziejach ludzkich, które przeszłość zostawiła, i czekają na jednostki ludzkie, które je odcyfrują i ożywią. „Materjalne fakty" nic nie znaczą bez człowieka, któryby je zinterpretował; dokument jest tyle wart, o ile człowiek czytelnik zdoła zrozumieć człowieka wydawcę dokumentu. Jeżeli przyjdzie jakaś wojna, która wytraci całą inteligencję narodu, a lud odda w niewolę beznadziejną, to „duch narodu" nigdy nie wskrześnie z martwych; tylko jakaś katastrofa panującej kultury może obudzić narodowość, o ile ten lud jeszcze się zdobędzie na jednostki przodownicze, które sobie o narodowości wspomną. O „duchu narodowym" w sensie literalnym t. j. niby o jakiejś osobistości możnaby mówić tylko znowuż w sensie mitologicznym: Gdyby myśli narodu zgęszczały się w jakąś substancję, od myślenia i od istnienia żywego materjału narodowego niezależną, i stamtąd działały telepatycznie na członków akurat danego narodu. Ale taki mit nie da się utworzyć, bo zbyt wiele przy bliższej w rozwadze odnajdzie się tu logicznych trudności. Nie, żywy człowiek to jedyny, konkretny i rzeczywisty element społeczności, twórca cywilizacji i jej ostateczny sędzia (co też nie jest sprzeczne z religją, bo, aczkolwiekby cywilizacja ludzi miała nadludzkie cele i źródła, to nie komu innemu tylko człowiekowi, więc ściślej rzekłszy, jakimś ludziom konkretnym, przyjdzie do tych celów się przyznać). Człowiek żywy nie da się roztopić w powszechności społecznej, jak złoto nie da się stopić w wodzie. Naród taki jest, jak jego pokolenie, a pokolenia jak poszczególni w nich ludzie. Taki „konkretywizm" jest nietylko prawdziwy, ale i wznioślejszy i donioślejszy niźli pomysł „świadomości zbiorowej".

*

Uniwersalizm, którem nazwałem „dziejowym" (jego przedstawicielem u nas Brzozowski) jest do poprzedniej formy bardzo zbliżony, tylko że nie mówi o „osobistości" narodu, tembardziej w jakimś sensie jakoby substancjonalnym[2]). „Dziejowość" twierdzi bardzo usilnie, że człowiek-jednostka jest wytworem dziejów, co znaczy, że niema w człowieku żadnych wartości, którychby dziejom, co go poprzedziły, nie zawdzięczał. Jest to zasada w bardzo znacznej części prawdziwa oraz szlachetna, bo wytwarza dziejową

[1]) Emil Durkheim (zmarły przed kilku laty, sławny, ale mocno krytykowany socjolog francuski) mówił o „świadomości zbiorowej, duszy zbiorowej, osobistości moralnej społeczeństwa" *(conscience collective, âme collective, personne morale qualitativement distincte des personnes individuelles)*, por. R. Lacombe *„La méthode sociologique de Durkheim, étude critique"* (Paryż, Alcan, 1926). D. przyszedł do idei społeczeństwa jako osoby, pragnąc znaleść jakąś sankcję dla obowiązków społecznych jednostki, a nie chcąc dopuścić idei Boga — *„Entre Dieu et la societé, il faut choisir"*. Także przyświecała mu myśl o „duszy zbiorowej", jakiej się Espinas dopatrzył w społeczeństwach zwierzęcych (a która to hypoteza, według mniemania podpisanego, dopóki nie zejdziemy na platformę zagadnień metafizycznych, jest zbędną, skoro, kto wie, psychologję indywidualną płci w społeczeństwach zwierzęcych można zasadniczo objaśniać ich zagadkową harmonją funkcyj. Dla przykładu: Szyk „gęsiego" jest zagadnieniem: Jaka jest najbliższa przyczyna, że gęsi tak regularnie się ustawiają? Trudno tu przypuścić jakiś plan stale i zgóry tak samo przez dowódców stad racjonalnie obmyślony i komenderowany, lub też przejęty „tradycyjnie"; ale tłumaczy się to jasno, kiedy się wczujemy w psychikę gąsek: Każda z nich czuje się błogo i bezpiecznie na spacerze, mając przed sobą kuper rodaczki; tylko gęsior lubi mieć szerszy widok; stąd skoro tylko on ruszy na przechadzkę, automatycznie reszta stada ustawia się w „gęsiego". Dalsze pytania na ten temat są już metafizyką, albo na jej pograniczu; mogą być bardzo słuszne, ale to już nie jest nauka, tylko inna dziedzina myśli. Przykład dany jest bardzo prymitywny i bardzo możliwe, że człowiek nie zdoła *de facto* pojąć przyczyn psychologicznych indywidualnych, które również automatycznie wytwarzają np. klucz żórawi i t. d. — ale *de jure* chyba ta droga do rozumienia społeczeństwa zwierzęcego wystarczy, bez hipostazowania „duszy zbiorowej").

[2]) Doskonały krytyczny przegląd książki Brzozowskiego. Czytelnik znajdzie u Bogdana Suchodolskiego „Stanisław Brzozowski, rozwój ideologji" (z zasiłku Fund. Kult. Nar., Warszawa 1933).

wdzięczność, oraz dziejową odpowiedzialność: ale jeśli wzięta dosłownie, to przesadna i nawet sprzeczna sama w sobie: Gdyby człowiek wszystko, co jest w nim cywilizacyjną wartością, tylko przeszłości zawdzięczał, to nie byłoby historji, skądżeby więc wziął się rozwój cywilizacji? Bardzo to proste: żadne pokolenie nie dodałoby do cywilizacji nic nowego, każde byłoby tylko imitacją poprzedniego, aparat raz puszczony w ruch kręciłby się w kółko. — Więc już sam prosty rachunek dowodzi, że człowiek w swej działalności dziejowej nie może się czuć tylko i wyłącznie dziedzicem dziejów, bez reszty w dzieje wplątanym, ale że jest jakąś cześcią siebie w stosunku do dziejów transcendentnym, czyli jest w nim coś, co jest poza wychowaniem, które otrzymał, jest w nim jakiś żywioł, z którego też rodzą się jakieś nowe dziejowe wartości; jest, słowem, w człowieku kultura i natura — i ta natura, przynajmniej u niektórych jednostek, jest kulturalnie twórczą. Inaczej: są ludzie, którzy pomimo wszelkiego wychowania są źli; ale są i tacy, którzy, poza wszelkim wychowaniem, są dobrzy. Człowiek nie jest w zupełności tworem wychowania, jakie mu dano. Przyzna to każdy, kto wejrzy uważnie w swoją własną historję, od pierwszych lat, kiedy siebie pamięta: w istocie, wiele się człowiek w ciągu życia nie zmienił: co go najwięcej bolało i cieszyło, kiedy był dzieckiem, co mu było największą troską i najlepszą przyjemnością, najlepszą cnotą i najniebezpieczniejszą pokusą, jakie były jego najżywotniejsze reakcje — takie samo jest to wszystko teraz, w wieku dojrzałym. Człowiek jest jak roślina, która ma przed sobą, w „wyobraźni" swojej swoją właściwą formę, rodowity kształt: sosna rośnie kopulasto, świerk — piramidalnie, brzoza — gibko, lipa — rozłożyście. Tak i człowiek: jeśli życie pozwoli mu według tej swojej „wewnętrznej „formy", tej *„entelechji"* wzrosnąć— to to nazywa się „szczęście", jeśli nie — to jest „nieszczęście", albo przynajmniej jakaś tajna, może i jemu samemu niepojęta, zgryzota. Człowiek z tem na świat wychodzi z wnętrzności matki. Wychowanie jest wielka rzecz: przeszkadza wyżyć się indywidualnościom dla społeczeństwa niebezpiecznym, przycina je, ugina: więc bez cierpień w wychowaniu nie obejdzie się; w pozytywnej części, wychowanie hoduje z predylekcją konary duszy, w specjalnie pożądanym kierunku rosnące, chroni przed sposobnościami zepsucia; ale wychowanie raczej wypaczy nieraz, wszelako nigdy nie stworzy wychowaniem coś, coby było w wychowanku ponad jego wewnętrzną formę, nigdy nie zdoła dodać człowiekowi coś ponad jego najwłaściwszą jakość: pękatej wierzby nie przymusi, żeby wzięła strzelistość topoli. „Indywidualizm" natury, z którą człowiek na świat przychodzi, a naturą jest wszystko, czego ani wychowanie nie dało, ani istotnie przez wychowanie zmienione być może, nie da się roztopić w „uniwersalizmie kultury" czyli, najogólniej rzekłszy, dziejów. Stąd wynika, że tylko wyjątkowo poniekąd, w jakichś szczęśliwie urodzonych, moralność i natura mogą iść zgodnie krok w krok, ale naogół w życiu uspołecznionem bez goryczy jakiejś się nie obejdzie. Skądże więc kultura bierze sankcje swoich domagań się?... Ale nie zejdziemy teraz w tę stronę (*Mutatis mutandis*, z religijnego punktu widzenia można podobnie mówić o kulturze i nad — naturze jednostki).

Co do dziejowości, jeszcze zauważę, że jest to idea wprost przeciwna rasizmowi: rasizm całą kulturę zakłada na naturze, dziejowość całą na wychowaniu. Ale jest możliwość trzecia: natura i wychowanie, to nie są dwie potęgi wzajemnie się wykluczające. Owszem, wolno przypuszczać, że jak na początku jest życie świadome i wolne, które się później w życie instyktowne obróci — (tak się to przyjmuje we współczesnej filozofji przyrody, żeby tylko Bergsona wymienić) — tak i wychowanie w ciągu pokoleń świadomie wytwarza z materjału naturalnych instyktów nowe instynkty, instynkty zbyt często słabe, nad któremi trzeba wciąż strażować. Kultura przechodzi w naturę, w krew pokoleń. Takie jest właśnie przekonanie nacjonalizmu polskiego (niejednokrotnie przez Z. Wasilewskiego wyrażane): więc nie integralny rasizm i nie integralny optymizm wychowawczy, ale w ciągu pokoleń współdziałanie kultury i natury; rasizm, ale umiarkowany doświadczeniem bez naturalistycznego predestynizmu. Tu nietyle w rasie szuka się ideału, ale raczej dla ideału chce się tworzyć rasę — rasę, którąby ten ideał zdołała dźwignąć. Rasizm tak pojęty przestaje być światopoglądem samoistnym, ale jest na usługach właściwego światopoglądu, a jeżeli będzie to światopogląd nacjonalistyczny, to jednakże, na skutek takiego właśnie traktowania rasizmu, nie będzie on— (czyli raczej: nie powinien być!) zasadniczem przeciwieństwem humanizmu — i tem samem chrystjanizmu. Ale to już punkt przejścia do innych kwestyj, których w tem rozważaniu ani tkniemy.

Ostatecznie więc: jak pogodzić indywidualizm z uniwersalizmem, jaką wynaleźć koncepcję, żeby w niej i od jednostki nie żądać, aby się w powszechności społecznej bez reszty roztopiła i społeczeństwu pozwolić tyle z jednostki stopić, aby życie społeczne było nietylko możliwe, lecz i rozwijało się? Optymizm moralny powiada, że natura ludzka jest społeczna, że w samej najrdzenniejszej głębi swej duszy człowiek pragnie człowieka i żywi doń sympatję. Stąd wynika społeczna moralność. Naturę zaś ludzką, w znaczeniu Arystotelesowem formalnem — to jest pojmując ją jako to, co tworzy istotną odrębność człowieka od innych stworzeń, —przyznaje się tu każdemu człowiekowi, poprostu dlatego, że się urodził jako dziecko ludzkie i ma twarz ludzką. Zwłaszcza tak ufać każe wiara chrześcijańska — która w ten sposób jest uniwersalizmem moralno-metafizycznym. I z tej ufności wynika, że nie wolno zgóry o nikim orzekać, że jest niezdolny do prawdziwego człowieczeństwa, do poprawy i uszlachetnienia. Wynika też, że jeżeli indywidualność człowieka cierpi od wymagań moralności chrześcijańskiej, to przyjmuje się, że to nie jest jego prawdziwa *„entelechja"*; ta bowiem, aczkolwiek skażona zasadniczo, nie jest skażona nieuleczalnie. Indywidualizm jednostki, która się broni przed miłością do bliźniego i przed ideałami rozwoju duchowego, nie jest niczem ostatecznem; zawsze może być miłość większa, niż nienawiść tego człowieka złego, która nienawiść tę roztopi i sięgnie do właściwej natury człowieka, do jej dna duszy: wtedy miłość rozleje się w miłości; człowiekowi ukaże się własna jego istota, dobra i uspołeczniona.

Ale tak ufającemu nie wolno przymknąć oczu na codzienne doświadczenie: bywają ludzie tak potworni, jakby w nich nic ludzkiego nie było.

Jeśli są tacy ludzie, to, — wprawdzie natury ludzkiej, jako natury mimo skażenia dobrej nie negując, — muszę jednakże przyjąć, że są ludzie, w których się ona, empirycznie rzecz biorąc, nie pokazuje. A skoro tak, to, tym razem pragmatycznie traktując, sprawa tak się przedstawia, jakby powszechnej natury ludzkiej nie było. Nie twierdzi się tu, jakoby każdy człowiek nie miał potencjalnej zdolności do dobrego, zwłaszcza przy tych mistycznycznych pomocach, których nadzieja jest jedną z dobrych nowin chrześcijaństwa, ale tę ufność odsuwam na plan metafizyczny i na razie chcę tylko na tem się oprzeć, co podaje obserwacja życiowa. A ta podaje, że są typy w złości swej głębokie aż do djabelstwa (np. mordercy lubieżni, a słówko „patologiczni" nic mi tu nie załatwia!...), iż nie sposób mi dobroć uważać za wrodzoną (w danem już znaczeniu tego słowa) każdemu, kto z łona matki wyszedł z twarzą ludzką. Nie z powszechnej więc natury ludzkiej będę wyprowadzał obowiązki moralności społecznej. A postąpię zgodnie ze swoją nominalistyką. Nominaliści średniowiecza powiadali, że nie dlatego Bóg nakazał dobro, że dobro jest dobre, ale dlatego Dobro jest dobre, że je Bóg nakazał. Tak rozumować, to znaczy wychodzić nie od apriorycznych rozumowań o „naturze" ideału, ale z samego, historycznego faktu jego przeżycia; przeżycia, w którem daną była bezpośrednia, niewątpliwa pewność jego wartości. Otóż tę tezę na grunt na razie tylko ludzki przenosząc, na podstawie prostej obserwacji powiem: Rodzą się ludzie, którym jakoby wrodzoną jest dobroć, którzy dobrocią napełnieni, dobroć i miłość sieją. Rodzą się tacy, którym widok ludzkiej męki jest najsłodszą delektacją. Rodzą się i tacy, którzy ani takiej złości w sobie nie mają, ani tyle dobroci, co tamci, elita serca; a tych dobroć na wierzch jest wywoływaną i pobudzaną wzorem tamtych, dobrych i świętych (*nb.* w granicach ich tajnej możliwości). Takim to, rewelacyjnym, sposobem stanowiony jest ideał dla ludzi. Ci, którzy tym ideałem, jakoby siecią, zostali zagarnięci, wchodzą w życie podwójne, rozszczepiają się, często boleśnie, w „starego" i „nowego człowieka". Sami przed sobą chronią się w swoje schronienie wewnętrzne — (przyczem idealizm laicki w stylu indywidualistycznej „moralności autonomicznej" kantowskiej, stawiając człowiekowi wysokie i trudne normy, zostawia go z niemi sam na sam, podczas, gdy moralność religijna chrześcijańska nietylko normy trudne i wysokie stawia, ale także obiecuje człowiekowi pomoce, wciągając go w życie powszechności obyczajowej i mistycznej).

(Dok. nast.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

WZNIOSŁOŚĆ W „PANU TADEUSZU"

II

A TERAZ — „Pan Tadeusz". Niejeden może powie, że w tych „księgach", które sam Mickiewicz nazwał prostemi, jako wieśniaczek piosenki, niema tak różnorodnej i tak wielkiej wzniosłości, jak w utworach wcześniejszych, że np. niema tam nic, nie wyłączając spowiedzi Jacka, coby żywiołowym wybuchem uczucia mogło się mierzyć z „Improwizacją", grozą z opowieścią o kibitkach, głębią uczucia religijnego i ogromem pokory z „Modlitwą wieczorną". Może tak jest naprawdę — wszystko zależy od upodobań indywidualnych. Lecz, korzystając właśnie z indywidualnych upodobań, które były inne w młodości, inne w wieku dojrzałym, a jeszcze inne są o zachodzie życia, niechaj wolno będzie powiedzieć, że tak różnorodnej wzniosłości, jak w „Panu Tadeuszu", niema w żadnym innym utworze Mickiewicza.

A więc nasamprzód — wzniosłość obrazów natury. Już w „Sonetach Krymskich" są wspaniałe szkice przyrody egzotycznej, załamane w pryzmacie to podziwu i zachwytu, to radości życia, to smutku i tęsknoty, czyli, innemi słowy, opisy natury są w tych sonetach jakby tylko symbolem własnych uczuć poety. A do tego ciasne i ścisłe rozmiary wierszowe sonetu, na które się skarżył nawet Goethe, sprawiły, że chociaż „Sonety Krymskie" są jednem z największych arcydzieł liryki całego świata, nie mogło być w nich pełni obrazów natury.

W „Panu Tadeuszu" — inaczej: na blisko dziesięć tysięcy wierszy całości niemal półtora tysiąca przypada na obrazy natury [1]); więc jeśli nie we wszystkich, to w niektórych pełnia być mogła — i jest. Innemi słowy: jedne obrazy są tylko zlekka naszkicowane, są jakby tylko tłem albo raczej jakby organiczną częścią akcji; inne, wykończone w najdrobniejszych szczegółach, są naturalnie także w pewnym związku z akcją, niemniej przeto stanowią samodzielne całostki artystyczne. Otóż wśród jednych i drugich obrazów są takie, które przez wielkość swoich zjawisk wywołują uczucie wzniosłości.

Oto np. widok zamku: wieża, dzięki mgle porannej, „zdała się dwakroć wyższa"; wrażenie wielkości zjawy potęguje słońce, złocące ponad mgłą dach i łamiące w resztce wybitych szyb „promienie wschodu w tęczach rozmaitych". Obraz, chociaż niewątpliwie wzięty z rzeczywistości, sprawia wrażenie jakiegoś zjawiska fantastycznego. Lecz „dwakroć wyższa" wieża zamkowa jest tylko tłem do ukazania się na widowni i do charakterystyki Hrabiego, który, lubiąc „widoki niezwykłe i nowe", oczom własnym nie wierzył,

„Że to były też same mury: tak odświeżył
I upięknił poranek zarysy budowy"...

Samo ukazanie się Hrabiego i wogóle cała jego postać nie ma w sobie, oczywiście, ani źdźbła wzniosłości, jest raczej — przez swój komizm — jej kontrastem. Ale oto przykład tła, które w zupełności harmonizuje ze wzniosłością akcji, a nawet ją potęguje dzięki własnej wzniosłości:

„Już wschodził uroczysty dzień Najświętszej Panny
Kwietniej. Pogoda była prześliczna, czas ranny,
Niebo czyste wokoło ziemi obciągnięte,
Jako morze wiszące, ciche, wklęsło-wgięte;
Kilka gwiazd świeci z głębi, jako perły ze dna
Przez fale; z boku chmurka, sama jedna,
Podlatuje i skrzydła w błękicie zanurza,

[6]) St. Pigoń, „Wstęp do Pana Tadeusza" w „Bibljotece Narodowej".

Podobne do niknących piór Anioła-Stróża,
Który, nocną modlitwą ludzi przytrzymany,
Spóźnił się, śpieszy wracać między spółniebiany".

Samo już porównanie nieba do cichego morza, a nadewszystko skrzydeł chmurki do piór Anioła-Stróża zabarwia to preludjum do obrazu poranka jakąś spokojną wzniosłością. A potem, kiedy już słońce wzeszło, tyle światła, takie bogactwo barw, że wolno już mówić o przepychu wzniosłości, która się łączy w jedną całość ze wzniosłością uroczystą rozmodlonego ludu, klęczącego na murawie i oczekującego na coś także wzniosłego — na uroczystą rehabilitację pośmiertną Jacka Soplicy.

A zakończenie „Pana Tadeusza"? Czy obraz zachodu słońca nie jest wzniosły, i to nietylko przez swój cichy spokój i znowu przez wspaniały przepych barw, ale i przez kontrast z hucznem, rozbawionem towarzystwem soplicowskiem, kontrast jaskrawy, ale tylko pozorny, bo w istocie i zabawa ma w sobie cechy wzniosłości — i w majestatycznym polonezie, i w wesołości, nie pustej, tylko płynącej z głębi serc, wezbranych patrjotyczną radością i nadzieją zmartwychstania ojczyzny!

Lecz ta radość i nadzieja, to „oczekiwanie — tęskne i radosne" „ogarnęło Litwinów serca" jeszcze wcześniaj, zanim generałowie polscy przybyli do Soplicowa:

„O wiosno, kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju,
O wiosno! kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!"

Ogrom własnych przeżytych uczuć, raz po raz wzbierających w duszy poety na ich wspomnienie, jest, obok plastycznej wyobraźni twórczej, głównem źródłem radosnej i jednocześnie wzruszającej wzniosłości obrazu wiosny; serce wyolbrzymiło wspomnienia i przystroiło je w kwiaty, jeśli nie fantastyczne, to skupione w jedną wspaniałą symfonję z jakimś tajemniczym niepokojem zwierząt domowych i ptaków i z przestrachem żubra w puszczy, który na widok pękającego zbłąkanego granatu

. . . . „pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu".

I dopiero na tem tle wybucha bezbrzeżna, błogosławiona radość ludzi:

„Wszyscy, pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!"

Niech tych przykładów wystarczy. Teraz — wzniosłość obrazów samoistnych.

Jeżeli kto powie, że „koncert wieczorny" wkracza w dziedzinę wzniosłości cichej, a uroczystej, tego nie posądzimy ani o brak poczucia estetycznego, ani o nieznajomość nomenklatury estetycznej. A nie idzie tutaj naturalnie o „szmery musze i ptaszęcą rozmową", tylko o grę stawów, z których jeden „modrą piersią wydał jęk cichy", ale „uroczysty", a drugi odpowiedział mu krzykiem „żałośnie namiętnym". A potem — w kilku zaledwie wierszach — tajemnicza wzniosłość nocy księżycowej. Przypominają się słowa Kanta, że „umysły są zdolne do uczuć wzniosłych przy cichym letnim wieczorze, gdy drżące gwiazd światło przebija się przez cienie nocy i gdy księżyc samotny w pełni jest zawieszony". Dotego wśród gwiazd ukazuje się „cud niebieski" — kometa, na którą z „niewymownem przerażeniem cały lud litewski poglądał", i oto wzniosłość staje się niemal straszliwą, do czego się przyczyniają jeszcze krzyki złowieszczych ptaków, przeraźliwe wycie psów i fantastycyna zjawa „dziewicy moru", którą strażnicy widzieli idącą przez cmentarz, powiewającą skrwawioną chustą.

Inny obraz — wzniosłość, zupełnie pozbawiona tajemniczości, nie mniej przez to groźna — „natury przestrach": burza. Jeżeli w którym obrazie, to w tym uwydatnia się całkowicie prawda, wyjaśniona przez Lessinga — o różnicy pomiędzy malarstwem a poezją. Malarz może pokazać jedną tylko chwilę rzeczywistości, poeta — cały jej przebieg. To, bez czego niema strasznej burzy — ciężkie chmury, ulewa, grzmoty, błyskawice — nie odrazu ukazuje się w obrazie, a raczej nie w obrazie, tylko w opowieści: nasamprzód gromadzenie się na niebie pędzonych wichrem ogromnych obłoków, potem straszna cisza (jakże inna od ciszy morskiej w sonecie krymskim!), cisza, w której chwiejące się rośliny stanęły „jak martwe, z niemym wyrazem Nieby" i która wprawia w niepokój i zwierzęta, i ptaki, a potem — jakieś niesamowite błyski na ziemi, która, „jeszcze słońcem ozłocona, świeciła się ponuro, żółtawo-czerwona". I teraz dopiero „natury przestrach": niebo zaczyna szaleć, rzucając na ziemię takie potoki deszczu, że i ono, i ziemia zlewają się w jedną ciemność, rozświecaną tylko błyskawicami i ogłaszaną hukiem piorunów. Chyba żaden inny obraz w poezji Mickiewicza nie zadaje w tym stopniu kłamu słowom Kremera, że „natura w swych najwyższych pięknościach jest ukryta dla sztuki".

A bory i puszcze litewskie w „Panu Tadeuszu"! Nie pomylił się Kant, mówiąc, że „grzędy kwiatów, niskie krzewy i drzewa w ogrodach są piękne", ale „wysokie dęby i samotne cienie świętego gaju — wzniosłe" [7]). Gaj, w którym towarzystwo soplicowskie zbiera grzyby, nie ma ze świętym gajem nic wspólnego, choćby tylko dzięki Telimenie i mrówkom (z konsekwencjami); ten gaj jest tylko piękny; tylko piękne są i lasy okoliczne. Ale puszcze litewskie są wzniosłe nietylko przez to, że wielkie dawnością, że sędziwe jak Litwa, że się łączą w duszy z „koronnemi głowami groźnego Witenesa, Wielkiego Mindowy i Giedymina", i nietylko przez grozę, jaką budzą gęste i ciemne ostępy i tarasy ze swemi gałęzistemi kłodami, tramami i leżącemi w trawie kośćmi stworzeń, pożartych przez dzikiego zwierza, ale także przez swoją grozę fantastyczną owych, znanych tylko z podań ludu, „przepastnych krain" i mateczników, nietkniętych stopą — „wielkie jest podobieństwo, że tam djabły siedzą":

„Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc, z obłąkanym wzrokiem;
I długo potem, ręką pana już głaskane,
Drżą jeszcze u nóg jego, strachem opętane..."

(D. C. N.) IGNACY CHRZANOWSKI

---

[7]) Przekład Brodzińskiego: „O uczuciu piękności i wzniosłości".

NA WIDOWNI

Wspomnienie o ś. p. Józefie Hłasce.—Pracownik i wychowawca. — Wartość moralna publicystyki Hłaski. — Pogrzeb w Grodzisku.

KIEDY przed trzynastu laty wszedłem w skład redakcji „Gazety Warszawskiej", Józef Hłasko zbliżał się już do kresu swej półwiekowej pracy publicysty i pisarza. Mimo to nie ustawał w robocie: przeważna część artykułów wstępnych w dalszym ciągu wychodziła z pod Jego pióra. Od wczesnego ranka do popołudnia można było oglądać Go w szerokim fotelu, przerzucającego uważnie stosy dzienników, lub niewyraźnem, drobnem pismem krótkowidza zapełniającego długie, wąskie paski papieru. Nie tracił czasu na zbyteczne pogawędki, zawsze w swoich zajęciach pogrążony, a przecież dookoła swojej osoby stwarzał bezwiednie atmosferę przywiązania i szacunku, czci głębokiej i ufności równocześnie, coś jakgdyby stosunek do „Pana Ojca" w staropolskim, szlacheckim obyczaju. Jak prawdziwym umiał być wychowawcą, jak potrafił — w miarę okoliczności i potrzeby — zachęcić, skarcić lub, naprzemian, rozrzewnić chwytającą za serce dobrocią!...

Pamiętam, w którymś z letnich miesięcy, kiedy większa część współpracowników rozjechała się na urlopy wakacyjne, objął zastępczo naczelne kierownictwo „Gazety", gdy mnie w tym czasie (również w zastępstwie) wypadło pełnić obowiązki sekretarza redakcji. Był upał, dni toczyły się jeden za drugim ospale, ja zaś wciąż bardziej leniłem się przychodzić w oznaczonej porze do dusznego, redakcyjnego lokalu. Pewnego rana, kiedy, opóźniony potrosze, zasiadałem za swojem biurkiem do pracy, spostrzegłem na niem duży bilet wizytowy, na którym ze zdumieniem nieprzyjemnem odczytałem nazwisko: JÓZEF HŁASKO. Jakże dotkliwa, choć milcząca nauczka dla mnie, jak wyraźne danie mi do zrozumienia: „Byłem u pana, niestety, nie zastałem tutaj nikogo w godzinach, w których pan wszakże powinien być obecny, przy robocie"... Nadąsany, wziąłem się do przejrzenia korespondencji, kiedy, w tejże samej chwili drzwi, otwarły się i Redaktor, łagodnie uśmiechnięty, przywitał mnie tonem serdecznym i wesołym: „Przyszedłem zabrać z powrotem ten bilet, bo już nie mam ani jednego w pugilaresie, a popołudniu muszę iść z wizytą oficjalną i obawiam się, że będę potrzebował go użyć"...

— — — — — — — — — — — —

Chociaż polem pracy Józefa Hłaski było przez cały ciąg życia dziennikarstwo, stanowił on najzupełniejszą antytezę normalnego przedstawiciela tego zawodu. Trzeba było zobaczyć zgorszenie, z jakiem młodsi szczególnie „fachowcy", wychowani w kulcie „tłustego druku" i „sensacji", spoglądali na pisane przez ś. p. Hłaskę artykuły. W ich przekonaniu dogmatem świętym, niewzruszonym jest dla publicysty zasada, iż cały swój światopogląd wypowiedzieć musi zawsze „w stu wierszach garmondu" — conajwyżej... Tymczasem rozmiar artykułów Hłaski nie wynikał bynajmniej z wielomówności. Był to skutek Jego metody pisarskiej, co więcej: Jego stosunku uczuciowego i moralnego do podjętych obowiązków i zadań.

Józef Hłasko należał do tych publicystów wyjątkowych, dla których naczelnym nakazem jest rzetelność, co oponenta chcieliby nie pokonać zręcznym chwytem, ale przekonać skrupulatnem zestawieniem faktów i dowodów. Nie agitował w swych artykułach, ale argumentował. W dobie dzisiejszej, zwłaszcza w prasie t. zw. politycznej, pisze się przedewszystkiem w tym celu, by „zdeklarować swe stanowisko", by zwolenników swoich, już zjednanych, umocnić suggestywnem powtarzaniem pewnych haseł, by, nakoniec, dokonać „posunięcia taktycznego", stawić swojego przeciwnika partyjnego w kłopotliwe, niewygodne położenie. Józef Hłasko pisał z tą myślą i zamiarem, by rzeczywiście wyświetlić omawiane zagadnienie, gruntownie, na serjo porozumieć się ze swym czytelnikiem o sprawie publicznej i przedstawić mu racje swoich poglądów.

Tkwiło u podstaw takiego stanowiska głębokie przeświadczenie wewnętrzne, że naród jest jednością, że każdy Polak, w głębi serca, uczuciowo pragnie tego samego, więc rozumowo wszyscy mogą ulegać perswazji co do wyboru dróg, prowadzących do tego wspólego celu. Tkwiła też wiara, że w istocie rzeczy, droga prawdy i interesu narodowego musi być jedna i ta sama, że nie wychowa się społeczeństwa przez okłamanie, ani umocni przez szerzenie w niem frazesu i niewiedzy. Nic też tak obce nie byłoby duszy Hłaski jak przypuszczenie, że „pożyteczne" jest szerzyć np. o przeciwniku zarzuty, gdy prawdziwości ich samemu nie daje się wiary, że w imię „taktyki" wolno jest popełniać czyny, nie zgadzające się z nakazem lojalności i nierycerskie. Bezkompromisowy w swych przekonaniach i sądach, nigdy w walce nie posłużył się argumentem, którego sam nie uznawałby za bezwzględnie słuszny, podejrzeniem, którego nie umiałby udowodnić.

Dziś, kiedy duch żydowskiej tandety moralnej zapanował w dziennikarstwie niemal wszechwładnie, kiedy kłamstwo świadome jest czemś powszednieın, gdy artykuł stał się plakatem agitacyjnym, nie pouczeniem — publicystyka Józefa Hłaski i jego metoda jako polemisty mogą wydawać się czemś niemal anachronicznem, „nieaktualnem". Ale czas przyjdzie, gdy naród zda sobie sprawę lepiej, jak wielką wartość dla jego zdrowia duchowego i jedności posiada właśnie ten typ człowieka i pisarza, ten sposób dyskutowania o sprawach politycznych, ta prawość ducha, ten poziom rzetelności w myśleniu, na który Józef Hłasko przez całe życie przykładem swym usiłował podciągać swoich współczesnych.

— — — — — — — — — — — —

Dnia 17 b. m., w godzinach popołudniowych, grono przyjaciół odprowadziło trumnę ze zwłokami Józefa Hłaski na cmentarz w Grodzisku Mazowieckim. Trumna prosta, bez ozdób żadnych, jak prosty był styl pisarski Zmarłego, w dzień pogodny, ciepły, słoneczny, jak pogodne pozostało aż do końca Jego usposobienie. Urodzony na najdalszych kresach, w Witebszczyźnie, niegdyś dziedzic Przesiemieniec pod Połockiem, kładł się do grobu w samem centrum Polski, na Mazowszu, tak jak i Polska była w samem centrum Jego duszy, ośrodkiem wszystkich Jego tęsknot i umiłowań.

Mało znaleść charakterów tak jednolitych, żywotów tak pięknych, tak szlachetnych — od najmłodszych lat do późnej starości.

JAN REMBIELIŃSKI

ŚP. JÓZEF HŁASKO

WIEŚĆ o śmierci ś. p. Józefa Hłaski doszła mnie podczas pobytu wakacyjnego w górach, a zły stan zdrowia nie pozwolił mi stanąć w czasie pogrzebu u jego trumny, jak nakazywał obowiązek serca.

Pracowaliśmy razem, złączeni przyjaźnią i ideą od r. 1889, więc 45 lat. Jeśli niezawsze razem, bo parokrotnie na oddalonych posterunkach, to zawsze złączeni wspólną robotą, w tym samym rytmie ducha. Gdy rozchodziły się drogi osobistych zainteresowań i zadań, to jednak wiedziałem, że to miejsce, które zajmuje ś. p. Hłasko, jest punktem mojego wyjścia i powrotu. On był dla nas wszystkich stałym punktem orjentacyjnym, jako trwałość i konsekwencja. Powiedzieć można — reprezentował statyczną stronę wspólnie przeżywanej historji.

Przywykliśmy korzystać, jak z cienia w znojne dni, z murowanej postawy Jego indywidualności i z Jego opiekuńczych skrzydeł. Udzielało się od Niego to, co w robocie nazywa się braniem rzeczy na serjo, w programie dosłownością, w wykonaniu solidnością. Czuło się przy Nim grunt prawdy pod stopami.

Dobra to była sprawa, skoro łuk życia ś. p. Hłaski, zawsze wiernego sobie i prawdzie, łuk, łączący dobę popowstaniowej, bezdziejowej Polski z chwilą obecną, ani razu się nie załamał. Znosił nieraz ucisk represyj za swą działalność, nie zaznał jednak tego, aby ręka przeciwnika politycznego znieważała w Nim powagę sprawy samej. Była to rozgrywka dziejowa serjo. Rodziła się za życia ś. p. Hłaski Polska z duszą narodową, a co znaczy sztandar takiej idei, o tem wiedział wróg zewnętrzny. Wiernym, niezłomnym chorążym tej idei był ś. p. Józef Hłasko.

ZYGMUNT WASILEWSKI

*

Józef Kniażyc Hłasko urodził się w 1856 r., w majątku Przesiemieńce pod Połockiem, w rodzinie ziemiańskiej, jako syn Józefa i Marji z Targońskich Hłasków.

W r. 1868 wstępuje do gimnazjum III-go w Warszawie. W r. 1876 do Akademji Medycznej w Petersburgu.

W marcu 1881 r. aresztowany, w r. 1882 zesłany na 5 lat do Wschodniej Syberji (do m. Jenisiejska).

W styczniu 1887 r. wraca do kraju, odwiedza Warszawę, zaznajamia się z redakcją „Głosu". W tymże roku przyjeżdża do Warszawy i wstępuje do redakcji, obejmując po wyjeździe Więckowskiego rubrykę „Z obcego świata".

W r. 1894 aresztowany w Przesiemieńcach i przywieziony do X pawilonu w Cytadeli Warszawskiej. W r. 1895 wysłany do m. Solaryczagodsk (gub. jenisiejskiej), skąd z powodu choroby oczu przeniósł się do Smoleńska.

W r. 1900 wyjeżdża do Krakowa (bo do Warszawy nie było wolno), w r. 1901 wstępuje do redakcji „Wieku XX" we Lwowie. W r. 1902 jest we Lwowie członkiem redakcji „Słowa Polskiego".

W r. 1906 przenosi się do Wilna, gdzie zostaje redaktorem „Dziennika Wileńskiego".

W r. 1915, przed zajęciem Wilna przez Niemców, przenosi się do Mińska, następnie do Moskwy, gdzie zostaje redaktorem „Gazety Polskiej", zamkniętej przez bolszewików.

W r. 1918 wraca do Warszawy i wstępuje do redakcji „Gazety Warszawskiej".

Zmarł dn. 14 lipca 1934, w Milanówku pod Warszawą. Pochowany w Grodzisku Mazowieckim.

GŁOSY

DUŻO MIEJSCA ZAJMUJE OBECNIE w dziennikach polityka zagraniczna. „Minister Simon o pakcie wschodnim". „Hitler określa wytycznie polityki zagranicznej Niemiec". „Deklaracja polityczna min. Barthou". Przywykiśmy do podobnych nagłówków i nie dziwią nas one, bo natrafiamy na nie w pismach codzień. Wzrok przywyka łatwo i nie dostrzega, jak egzotyczny, u nas nieznany porządek rzeczy znajduje odbicie w tych częściech obcego świata. Jesteśmy niezawodnie tym krajem, który najdoskonalej urzeczywistnił system tajnej dyplomacji. Obywamy się bez oświadczeń i wyjaśnień urzędowych w sprawach polityki zagranicznej, których gdzieindziej, w dyktaturach niemniej niż w demokracjach, odpowiedzialni mężowie stanu nie szczędzą społeczeństwu gwoli poinformowania go i oświecenia. Tego kontaktu z opinją niema u nas zupełnie. Jesteśmy pod tym względem spośród większych państw świata — najwięcej chyba państwowi. Społeczeństwo nasze najmniej wie o celach i zamiarach czynników miarodajnych w polityce zagranicznej, o niepowodzeniach i powodzeniach w tej dziedzinie. Rozwój zdarzeń objawia mu się jako szereg niespodzianek. Nagle dowiedziało sie np. o popsuciu naszych stosunków urzędowych z Czechami, kiedy ono na możliwość podobnego obrotu rzeczy najmniej zaiste było przygotowane. Naodwrót, polepszenie się stosunków polsko-rosyjskich największą niespodzianką okazało się właśnie dla kół sanacyjno-legjonowych. Stary frazes przeciwrosyjski tułał się jeszcze ua szpaltach dzienników sanacyjnych, kiedy już politykę prowadzono wbrew niemu, w kierunku porozumienia z Rosją. Czy mniej, czy więcej sensowna, polska polityka zagraniczna od dłuższego czasu prowadzona jest bez żadnego porozumienia z opinją. Cieszy się pod tym względem idealną swobodą. Społeczeństwo pozostaje w zupełnej ignorancji, a więc absolutnie nie przeszkadza. Jako jedyny komentarz w tej dziedzinie otrzmuje wynurzenia półinteligentow w piśmie pół-urzędowem. W rzeczywistości więc nie wie nic o linji tej polityki, czy jest falista czy prosta,kosekwentna czy kapryśna. Nielogiczne jest zatem, że w pewnych chwilach oczekuje się jednak, iż opinja złoży kierownikom tej polityki gratulacje. Nie można połączyć tak korzyści obu sprzecznych systemów. Pod *régime*'m tajnej dyplomacji, niewtajemniczone w jej zamiary i działania społeczeństwo nie potrafi, jak powiedzieliśmy, stanąć im świadomie na zawadzie; ale nie może też uczciwie wyrażać aprobaty i uznania, bo nie wie, co jest dziełem zamiaru, a co przypadku, z czyjej strony wycbodzą propozycje, prowadzące

do urzeczywistnienia paktów i porozumień, ani jaką rolę gra konieczność, jaką talent i t. d. Kto wogóle nie szuka zrozumienia dla swej polityki u społeczeństwa, nie może żądać, aby rozumiało ono tylko to, że co pewien czas wyrażać wypada podziw i uznanie. Nielogiczność ta nie znika z naszego politycznego życia i zrozumienia dla tej jedynej rzeczy oczekuje się od społeczeństwa. Zresztą, jest tak nietylko w sferze spraw polityki zagranicznej.

JESTEŚMY NADER ŚCIŚLE IZOLOWANI OD EUROPY, i coraz mniej mamy wyobrażenia o tem, co w życiu narodów naszej cywilizacji jest normalne. Z tego względu ciekawe są wrażenia sanatora, kiedy wyjrzy na świat zachodni. Przed paru dniami zanotował swe wrażenia z krótkiego pobytu w Danji (jako korespondent „Gazety Polskiej“) p. Władysław Sieroszewski. Spostrzegł, że w rzeczy samej porządki tamtejsze inne są, niż porządki w Polsce. Jakże to wytłumaczyć? „Uczucie zazdrości na widok idealnie funkcjonującego, bez udziału policjanta, ruchu ulicznego, na widok rowerów i samochodów, pozostawionych bez opieki, na widok setek kilometrów kwadratowych asfaltowych nawierzchni — nie jest uczuciem niższości własnej i płynącej stąd zawiści do lepiej obdarzonego. (Jakby wszystko to Danja od kogoś dostała! — nasz przyp.). Jest westchnieniem żalu, że nie wszystkim narodom przypadło tyle morza, jako granicy naturalnej, że nie każdemu społeczeństwu tysiącletnia, nieprzerwana tradycja państwowa wpoiła głęboki szacunek dla Państwa i jego instytucyj, od głowy królestwa poczynając. a kończąc na owym dobrodusznym, niepotrzebującym w urzędowaniu żadnej broni posterunkowym: że wreszcie nie każdy kraj ocalał przed niszczącą wszystko pożogą wojenną“.

Nic zabawniejszego, niż przedstawiciel nieporadnego młodego pokolenia sanacyjnego, wzdychający z żalu, że... jesteśmy nie niżsi. Wogóle usamodzielnienie się i oprzytomnienie młodego pokolenia w Polsce postępuje powoli. Ale ta stosunkowa mała część jego, która opowiada się za „sanacją“, najmniej wykazuje postępów w kierunku wyraźniejszej umysłowej samodzielności. Ludzie trzydziestokilkoletni jeszcze są do tego przeważnie za młodzi. Wyrazem tej niesamodzielności jest także ów fatalizm, który różnicę pewnych obecnych porządków polskich i duńskich każe poczytywać— acz z żalem — za historycznie i geograficznie uzasadnioną i konieczną, pozatem zaś, przynajmniej w obliczalnej przyszłości — za niezmienną. Trudno — Danja zawsze będzie miała od nas stosunkowo więcej brzegu morskiego. Że zaś duch naszej tysiącoletniej przeszłości jako państwa lepiej może uzasadniałby idealne panowanie prawa w Polsce, niż w Danji, że pod tym względem niezgorzej jesteśmy historycznie sytuowani — nie przychodzi to sanacyjnemu fataliście poprostu na myśl. Nie zdaje on sobie sprawy z tego, że ani nasza obecna niższość nie jest złudzeniem, ani nie jest niem pod niejednym względem nasza historyczna wyższość. I nic charakterystyczniejszego, niż ten melancholijny fatalizm zamiast zdziwienia; ten smutny wniosek, że w Polsce tak być musi, jak jest, gdy z przysłanek wynikałoby, że powinno być inaczej, i że rzekoma „konieczność“ jest najpewniej chwilowem tylko wynaturzeniem.

NAUKA i LITERATURA

KSIĘGA
KU CZCI PROF. MARJANA ZDZIECHOWSKIEGO

PIĘĆDZIESIĄT lat (właściwie 52!) pracy naukowej ma poza sobą Marjan Zdziechowski, długoletni profesor Wszechnicy Jagiellońskiej i Uniwersytetu Stefana Batorego, oraz rektor tej uczelni w latach 1925 — 27, jeden z najwybitniejszych naszych uczonych, znany i uznany w całym świecie kulturalnym.

Ku uczczeniu jego pracy na polu słowianoznawstwa Polskie T-wo Badań Europy Wschodniej poświęciło mu ostatnio IV tom swych pism, wspaniałą księgę o 400 przeszło stronach, ozdobioną portretem jubilata i wypełnioną rozprawami 28 pisarzy w 9 językach: polskim, francuskim, włoskim, angielskim, rosyjskim, niemieckim, bułgarskim, chorwackim i ruskim, takich autorów, jak: Blondel, Laberthonnière, Sarrazin, Baldensperger, Bertoni, Muckermann, Noyes, Pogodin, Mereżkowski, Benesicz, oraz Wacław Lednicki, Dyboski, Bystroń, Lehr-Spławiński, Brahmer i in.

Prace te dadzą się zgrubsza podzielić na cztery grupy zasadnicze. Pierwsze miejsce zajmą związane z osobą dostojnego jubilata. Druga grupa — to uczone rozprawy, dotyczące głównego przedmiotu badań Zdziechowskiego, czyli właśnie słowiańszczyzny. Do dwu pozostałych wreszcie grup zaliczyć wypadnie prace, dotyczące Wschodu w szerszem tego słowa znaczeniu, a wreszcie artykułu natury ogólnej, pozostające jeno w luźnym związku z zainteresowaniami pisarskiemi Zdziechowskiego.

Rzecz jasna, że nas tu interesują przedewszystkiem prace, należące do grupy pierwszej. Na czele księgi znajdujemy świetnie pomyślany artykuł redaktora wydawnictwa, Wacława Lednickiego, o Zdziechowskim jako rusycyście, oparty o szerszą analizę jego psychiki. Lednicki słusznie wysuwa na czoło sprawę religijności Zdziechowskiego jego moralno-dydaktyczną postawę wobec życia i zjawisk literackich, co się łączy z wybitnie lirycznym tonem, cechującym wszystkie prace Zdziechowskiego, oraz z konsekwentnym, że się tak wyrażę, subjektywizmem jego sądów.

Rosja, którą Zdziechowski poznał dogłębnie, jak mało który Polak, kusiła go od lat młodych, ale zarazem go od siebie odpychała, która to antynomja ujawniła się najpierw w trzech dużych książkach, poświęconych przeważnie Rosji, jak „Mesjaniści i słowianofile“, „Byron i jego wiek“, oraz „U opoki mesjanizmu“, gdzie szczególnie gorącą sympatją darzy Zdziechowski Tołstoja i Sołowjowa, — oraz z drugiej strony mnóstwem mniejszych studjów o charakterze publicystycznym, gdzie z pasją i szlachetnym patosem atakuje on bolszewizm.

Stałe niemal u Zdziechowskiego zestawianie Rosji z Polską, będące, jak wiadomo, dziedzictwem pierwszych dwu trzecich w. XIX, kiedy to antagonizm względem Rosji zajmował nas całkowicie, było też dlań źródłem i pobudką do badań porównawczych literatury wogóle, których to badań, tak dziś rozpowszechnionych w Europie, Zdziechowski był właściwie inicjatorem, jak na to słusznie zwraca uwagę drugi jego monografista w rozpatrywanej księdze, Władysław Bobek, autor szkicu o Zdziechowskim, jako badaczu literatury czeskiej i chorwackiej.

Do tej samej grupy artykułów, dotyczących osoby samego jubilata, zaliczyć trzeba krótki szkic Sarrazina, omawiający naczelną dążność Zdziechowskiego, chęć oddziaływania na dusze, *agir sur les âmes*, co go tak spokrewnia z naszą poezją mesjaniczną, a zwłaszcza z Mickiewiczem; dalej wiersz bułgarski znanej poetki Dory Gabe p. t. „*Ustviem*“ (Wzlot), oraz kartkę ze wspomnień tak bliskiego Wilnu ks. jezuity Muckermanna, Niemca, który w szkicu p. t. „*Gedanken über Polens europäische Aufgabe*“, omawia

niektóre cechy naszego charakteru narodowego i naszej historji.

Na czele drugiej grupy trzeba postawić dwie rozprawy, pozostające w związku z „Panem Tadeuszem". Więc Iwan Lekow omawia przekład poematu na język bułgarski, dokonany jeszcze w r. 1901 przez Karanowa i po gruntownym rozbiorze wydaje surowy sąd o tłumaczeniu. Stanisław Rospond zaś daje zajmującą sylwetkę Słoweńca, Matiji Czopa, rówieśnika Mickiewicza, który natychmiast po wyjściu „Pana Tadeusza" z druku, jeszcze w r. 1834, gruntownie zapoznał się z poematem i wydał o nim sąd nadzwyczaj przychylny i dotyla przenikliwy, że po dziś dzień może on być naogół utrzymany; Czop bowiem w liście niemieckim z r. 1834 do przyjaciela podziwia mistrzowskie połączenie pierwiastka epicznego z lirycznym w poemacie, przyznaje mu charakter epopei, daje trafną charakterystykę wiersza i wywyższa Mickiewicza ponad Goethego i Byrona: *„kurz diese Gedicht ist eine wahre Epopöe unserer Zeit"*.

Znakomity rosyjski uczony Pogodin szkicuje wizerunki literackie dwu rosyjskich pisarzy, Bułharyna i Sękowskiego, z pochodzenia Polaków, przyczem w znacznym stopniu rehabilituje Bułharyna, którego powieść z r. 1829 p. t. „Iwan Wyżygin", ma za tło te same okolice, które po 5 latach odtworzy „Pan Tadeusz".

Wyjątkowo zajmujące są pamiętniki Charles Didiera z r. 1848, wydane przez Sellardsa. Rząd Lamartine'a liczył na pomoc... Berlina w przywróceniu niepodległości Polski i w tym celu posłał owego Didiera, by się zapoznał ze stosunkami w Polsce. Didier od 8 kwietnia do 10 lipca 1848 r. zwiedza Poznańskie i Galicję, kreśląc dzień po dniu zwięzłe, ale bardzo charakterystyczne uwagi, natury politycznej, społecznej i obyczajowej. Uderza go szczególnie niezrozumiała dla cudzoziemca, potworna przepaść pomiędzy ludem a warstwą oświeconą, dalej wybitna rola kobiety w życiu polskiem, wreszcie mnóstwo żydów. Mówi także Didier o powszechnej nienawiści do Austrji: *„La haine de l'Autriche est dans toutes les classes... En Autriche tout est chancellerie, comme tout est vulgaire"*.

Następnie w związku z Polską pozostają: Bobczewa studjum w jęz. bułgarskim o przekładzie na ten język jednej z prac Romualda Hubego, słynnego polskiego kryminologa; szkic Dyboskiego o kooperacji w psychice Conrada pierwiastków polskich i angielskich; dalej artykuł Brahmera, omawiający echa sienkiewiczowskie we Włoszech; wreszcie ciekawe notatki Lednickiego o Gribojedowie, z których się dowiadujemy o przypuszczalnie polskiem pochodzeniu rodu Gribojedowów; ich protoplastą był niejaki Grzybowski, polski emigrant do Moskwy w w. XVII. Sam Gribojedow przebywał przez czas dłuższy w Polsce i w jego słynnej komedji *„Gorie ot uma"* są wyraźne wpływy „Powrotu Posła" Niemcewicza. Przy tej okazji przytacza Lednicki wiersz Wiaziemskiego, z którego wyrywamy charakterystyczne wyznanie:

„Umizgać się! *w siom słowie miłom*
Kak w sierdce Polsza wsia żiwiot".

Wreszcie do tegoż działu należy szkic Bystronia, doszukującego się w ludowej pieśni polskiej cech mitu o Herze i Leandrze; dalej francuskie studjum prof. uniw. w Budapeszcie, Eckhardta, o pierwszym poecie węgierskim Balassim, co był rówieśnikiem Kochanowskiego i w l. 1576 — 7 przebywał w Polsce. Nakoniec z niemieckiego artykułu prof. Spekke'go z Rygi dowiadujemy się o humanistycznej literaturze łacińskiej w wieku XVII w Inflantach, zwłaszcza o poecie Dawidzie Hilchenie, oraz o współzawodnictwie kultury polskiej z niemiecką na tym terenie.

Innych Słowian dotyczą prace: znanego przyjaciela Polaków, Amerykanina Noyes'a, szkic o opisach przyrody u Tołstoja, z częstem powoływaniem się na pisarzy polskich, jak Mickiewicz i Reymont; następnie Benesicza przyczynek do Gunduliczowego „Osmana" (po chorwacku); dalej Bohdana Łepkiego ciekawe uwagi o przekładach liryków (w jęz. ruskim); wreszcie studjum Lednickiego o „Zamieci" Puszkina i o prawdopodobnym wpływie na nią komedji Regnarda p. t. *„Démocrite"*.

Ostatnią wreszcie grupę utworów, zawartych w tej księdze ku czci Zdziechowskiego, stanowi 10 prac o charakterze ogólnym, nie związanych ze słowianoznawstwem.

Tu przedewszystkiem wymieniamy arcyciekawy fragment niedawno zmarłego ks. Laberthonnière'a p. t. *„L'usage de la contrainte dans l'église"*, gdzie autor wykazuje rozkładowy wpływ przymusu w Kościele. W dziedzinę historji religji prowadzi nas Mereżkowski w urywku z większej całości p. t. *„Był li Christos?"*, gdzie walczy szczególnie z Renanem i wogóle ze sceptycyzmem religijnym.

Henri Grégoire omawia średniowieczną epopeję byzantyńską o zdobyciu Amorium, greckiej twierdzy w centrum Azji Mniejszej w r. 838 przez Arabów, oraz daje dłuższy fragment przekładu tej epopei na język francuski.

Wreszcie prof. Baldensperger omawia wpływ kilku poetów francuskich, należących do grupy *„poésie fugitive"*, czy też inaczej, jak ktoś powiedział: *„poésie sans poésie"*, takich jak Dorat, La Motte, Parny i in. na młodego Goethe'go.

Jeszcze parę artykułów o mniejszem znaczeniu, jak Blondela fragment *„Sur la pensée"*; dalej omówiony przez Bertoniego list Renaty Francuskiej z XVI w.; Masinga rozważania etymologiczne, dotyczące wyrazu *„Kirche"*; Lehra-Spławińskiego śledzenie idei Eurazji z punktu dochodzeń językowych; Mole'go uwagi o sztuce portretowej na Iranie przed-islamskim, oraz wreszcie rozbiór pewnego tekstu sanskryckiego przez p. Willman-Grabowską — dopełniają całości tej ciekawej książki, która różnostronnością swego materjału jakby symbolizuje wszechstronność zainteresowań czcigodnego profesora Marjana Zdziechowskiego. STANISŁAW CYWIŃSKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jak to już w swoim czasie donosiliśmy, staraniem Towarzystwa Wydawniczego Młodych Prawników i Ekonomistów znajduje się w druku „Komentarz do Nowego Kodeksu Handlowego" w opracowaniu prof. Namitkiewicza.

Ukazanie się tego wydawnictwa, które wzbudziło wielkie zainteresowanie w kołach prawniczych i ekonomicznych, musiało ulec pewnemu opóźnieniu ze względu na zmiany, które w tym czasie zaszły w ustawodawstwie handlowem i które musiały być uwzględnione w tekście wydawnictwa, aby nie traciło ono na aktualności. Jak bowiem wiadomo, Nowy Kodeks Handlowy był już ogłoszony rozporządzeniem Prezydenta w październiku 1933 r. i miał wejść w życie 1 lipca r. b. Obecnie został on uzupełniony i obejmuje także przepisy o domach składowych z r. 1924, prawo o spółkach akcyjnych z r. 1928, prawo o spółkach z ogr. odp. z r. 1933, a nadto unifikuje przepisy dotyczące sprzedaży na raty. W tem nowem brzmieniu został „Kodeks Handlowy" ogłoszony 30 czerwca b. r. i zaczął obowiązywać w całej Polsce z dniem 1 lipca.

Mimo poważnych trudności, które wskutek powyższych zmian w ustawodawstwie musiały być pokonane, Tom I „Komentarza" ukaże się już w ciągu bieżącego tygodnia, to jest w kilka dni zaledwie po oficjalnem ogłoszeniu Kodeksu w nowej redakcji.

Świadczy to o wielkiej aktywności młodych wydawców, którzy cieszą się też coraz większą popularnością i sympatją. Na przeszkodzie jednak rozszerzeniu działalności Towarzystwa stoi brak funduszów, uniemożliwiający narazie realizację napływających wciąż nowych propozycyj wydawniczych, zarówno w zakresie wydawnictw książkowych, jak i odnośnie przejęcia całego szeregu wydawnictw perjodycznych. Spodziewać się należy, że do Towarzystwa przystąpią jeszcze liczni prawnicy i ekonomiści w charakterze udziałowców, przyczyniając się w ten sposób do coraz większej żywotności pierwszej polskiej spółdzielni wydawniczej w dziedzinie prawa i ekonomji.

•

Na schyłku zeszłego wieku Akademja Umiejętności podjęła się wydania poetów polskich XV i XVI w., poprzedników Kochanowskiego, piszących po łacinie. Wydawnictwo

to miało być uzupełnieniem edycji jubileuszowej dzieł Kochanowskiego, gdzie m. in. zebrano — coprawda w tekstach niezawsze krytycznych i opatrzonych dość wadliwym przekładem — łacińskie utwory czarnoleskiego poety. W dość rychłem tempie zdołano wydać poezje Rojzjusza (Kruczkiewicz), Krzyckiego (K. Morawski), Hussowczyka (Pelczar). Natomiast długo, bo bezmała pół wieku, czekało się na wydanie poezyj K. Janickiego (czyli raczej Janika — *Janicus*), które solidnie opracował prof. Ćwikliński. Nie możemy się doczekać — mimo długoletnich obietnic — wydania poezyj Jana Dantyszka, przygotowanego źródłowo przez jednego z krakowskich filologów. Zanim się tegoż doczekamy, miło nam powitać przystępniejszą — choć i o wielkiej naukowej wartości — edycję „Hymnów" Dantyszkowych, jaką dał imponujący zawsze w swej wielostronnej pracowitości i erudycji prof. R. Ganszyniec (Zbiór pisarzy polsko-łacińskich, t. 6, Lwów, nakł. „Filomaty"). Tekst opracowany jest wzorowo na podstawie ścisłego porównania wszystkich dotychczasowych wydań. Równolegle z tekstem łacińskim idzie tekst polski, a mianowicie przekład przygotowany przez młodego lwowskiego poetę i krytyka, J. M. Harhalę. Przekładowi temu oddaje wydawca pochwały za pietyzm. Z pochwałą tą w pewnej mierze możemy się zgodzić. Nawet tam, gdzie nas uderzy kantyczkowe nieco wysłowienie czy rymowanie, zazwyczaj nie trzeba tego poczytywać za wadę, lecz za świadome chwytanie ducha utworu.

Rzecz całą wyjaśnia świetna przedmowa prof. Ganszyńca, będąca najgłębszą i najpoważniejszą rozprawą, jaką polska nauka poświęciła polskiemu dyplomacie i poecie, przyjacielowi Kopernika, Dantyszkowi. Poeta ten był u nas jednym z krzewicieli humanizmu, jednym z głównych wyznawców tego prądu. To wszystko prawda. Ale w hymnach swoich szedł raczej naprzekór m o d z i e humanistycznej (która poganizowała chrześcijaństwo) naśladując klasycyzm w zewnętrznej formie, nie w duchu. Otrzeźwieniu dał początek Erazm z Rotterdamu, wykazując, iż „scholastycy ciemnego średniowiecza stoją bliżej ideału cycerońskiego aniżeli humaniści". Korespondujący z Erazmem Dantyszek, odkąd objął biskupstwo chełmińskie, porzucił dawne miłostki i hulanki, a przejął się duchem głębszej religijności i w związku z tem wrócił też i do wzgardzonych, a wyszydzanych wpierw form rytmicznych średniowiecznych, dając na tem polu rzeczy wartościowe. Nazywa go prof. Ganszyniec „genjuszem żywym i twórczym", co „przemierzył w swem życiu te fazy ewolucyjne, które przemierzyli przywódcy humanizmu". Dodajmy, że ewolucja to podobna do tej, którą przebywał później — od „Wallenroda" i „Sonetów" do kantyczkowej formy III cz. „Dziadów" — Mickiewicz, następnie zaś, po kunszcie „Balladyny" i „Beniowskiego" Słowacki, kiedy głosił pokorę i w prostą formę myśli swe składał, s i l ą c się niekiedy nawet na niewytworność („Ks. Marek", list do Rembowskiego).

Za wzór — jak to przedmowa Hozjusza zaznacza — Dantyszkowi służyć Prudencjusz (*ad imitationem Prudentii*). Fakt ten trzeba brać z wieloma zastrzeżeniami. Prudencjusz, jak Pindar, sławił przedewszystkiem z w y c i ę z c ó w, w danym wypadku *athletae Christi*, męczenników i apostołów Chrystusowych. Dantyszkowe hymny mają raczej coś z Ambrożego (nawet formą pokrewne), a więcej jeszcze z późnego średniowieczu, tem właśnie są ciekawsze i bardziej charakterystyczne. (J. B.).

*

Ostatni, pośmiertny już tomik „Poezyj" J u l j a n a A d o l f a Ś w i ę c i c k i e g o (Gebethner i Wolff) poświęcony jest „młodzieży polskiej". Dedykacja ta, jak informuje nas w przedmowie Antoni Bogusławski, została drżącą ręką skreślona przez sędziwego autora w ostatnich latach życia. Czy Święcicki, poeta dawnej epoki, uczestnik powstania styczniowego, wierzył, że go odczuje i pokocha młodzież dzisiejsza, w innych wychowana gustach i warunkach? Trudno powiedzieć. Może sobie mówił: „*Contra sper sporo*". Wnosić to można z wiersza na „Uroczystość świętej Cecylji", gdzie są takie strofki:

„O święta, której dano tworzyć cuda,
łaską swą mózgi rozjaśnij przeczystą,
żeby się każdy rzępoł — dławiduda
nie zwał artystą...
O wpłyń na swoje kapłany tak liczne,
których kult sztuki do twórczości skłania,
niech pieśni tworzą — nie dźwięków równania
algebraiczne...
O gdyby jeszcze i twoi działacze
oczekiwania tylu serc zawiedli,
radości nasze i łzy i rozpacze
któż odzwierciedli?"

A właśnie ś. p. Adolf Święcicki odzwierciadlał radości i łzy i rozpacze swego pokolenia, tego, które się już do grobu kładzie lub pokładło. Pisał o każdem zdarzeniu, jakie budziło oddźwięk w duszy Polaka w dobie ucisku apuchtinowskiego czy w czasie wojny światowej. Martyrologji sybirskiej, sprawie chełmskiej, pokojowi brzeskiemu poświęcił autor strofy pełne żywego uczucia, szczerego patrjotyzmu. Powstały te strofy przeważnie w atmosferze przyjaźni z ludźmi wybitnymi owych czasów: Orzeszkowej, Sienkiewiczowi, Paderewskiemu dedykował Święcicki poszczególne utwory. Wiele z tych utworów ma charakter okolicznościowy, improwizacyjny, bo poeta—jak zaświadcza Bogusławski — miał do improwizacji i skłonność i powołanie. Z tego względu — i ze względu na historyczne podłoże — tomik Święcickiego ma swoją odrębną pozycję w plonie lat ostatnich. (J. B.)

*

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Lublinie wydało jako Nr. 4 Prac Komisji Historycznej, z funduszu im. woj. J. B. Świdzińskiego, studjum ks. dr. L u d w i k a Z a l e w s k i e g o „Z dziejów Partyzantki w roku 1833 w województwie lubelskiem" (w setną rocznicę). Skład Główny — Dom Książki Polskiej w Warszawie. Nieszczęsna ta partyzantka, rozpoczęta przez Józefa Zaliwskiego „w dzień jego imienin", wyznaczony jako termin początku walki przeciw Rosji, spowodowała ze strony rządów zaborczych nieprzeliczoną ilość represyj policyjnych, uwięzień, wyroków zesłania, wyroków śmierci i konfiskat, bez żadnego dla sprawy narodowej pożytku. I nie ta bezużyteczność ofiar dla celów niepodległości jest bolesna, ale groteskowość taktyki, jeśli wogóle można użyć tego wyrażenia, taktyki marnotrawstwa sił i krwi ówczesnej młodzieży szlacheckiej i włościańskiej. Gdy powstanie Kościuszkowskie i listopadowe dźwignęło poniekąd duszę narodu, pozostawiło wspomnienie bohaterstwa, zwycięskich bitew i nie mniej wzniosłych klęsk, to swawolne przedsięwzięcie Zaliwskiego nasuwa głównie uczucia przygnębienia i wstydu. Okłamani, oszukani, ginęli bez walki, bez broni, bo zaopatrzenia w dubeltówki i „noże sprężynowe" przeciwko karabinom regularnej armji nie można, niestety, traktować jako uzbrojenia. Tem mniej, że drobnym, po kilkunastu ludzi, oddziałkom, błądzącym na ślepo po lasach, odmówił los nawet honoru zbrojnego spotkania z armią nieprzyjaciela. Partyzantów wyłapywali żandarmi, jak ryby do saka, i związanych, skatowanych, odstawiali do aresztów na śledztwa i sądy. Autor opowiada szczegółowo i wymownie o tej żandarmskiej procedurze. Popiera swe opowiadanie materjałami historycznemi, korespondencją urzędową, protokółami przesłuchań, aktami kancelarji namiestnika Królestwa Polskiego, kancelarji warszawskiego wojennego gubernatora, archiwum Akt Dawnych, Akt Stałej Komisji Śledczej, i na podstawie kronik emigracji i pamiętników odtwarza nastroje znękanego niewolą ówczesnego społeczeństwa. Ukazuje sylwety partyzantów, ziemian, generałów i urzędników rosyjskich, prowokatorów i szpiegów, obłudną i nikczemną rolę rządu austrjackiego. Rzeczowo, z suggestywnym talentem literackim, nieodparcie, uwydatnia tragedję tego czasu. (A. W.)

*

„Największe szaleństwo „systemu" polega na tem, że poza obrębem swej biurokracji dławi on surowo wszelkie objawy życia politycznego. Gdy „system" runie, runie wraz z nim i biurokracja i pozostaną tylko masy" — wyznawcą tego, niepozbawionego słuszności, poglądu jest B r u c e L o k h a r t, autor „Pamiętnika angielskiego agenta" (Rój). Podobna refleksja nasunęła mu się jako wynik obserwacyj, zebranych w zetknięciu z Rosją carską, którą miał sposobność poznać od wewnątrz, zajmując tam w latach 1912 — 18 kolejno różne stanowiska dyplomatyczne i wywiadowcze. Zwłaszcza wywiad dla *Foreign Office* — w okresie interwencji koalicyjnej w Archangielsku — dostarczył autorowi wielu zakulisowych wiadomości, tem cenniejszych dla historyka, że w swojej relacji Lokhart z dużym objektywizmem, często z sympatją mówi o przeciwnikach politycznych, względem których służba nakazywała mu odwzajemniać nienawiść urzędową.

Pamiętnik potwierdza doskonałą opinję, jaką cieszą się Anglicy, wysyłani przez swoje państwo na krańce świata, w charakterze agentów lub pionierów W. Brytanji. Potrzebne siły daje im doskonała tresura szkolna i sportowa, a dla człowieka na odległej, eksponowanej placówce źródłem zaufania do nakazów zgóry staje się przekonanie o tradycyjnej ciągłości instytucyj państwowych, które w swych rdzennie angielskich zrębach nie podlegają przejściowym fluktuacjom politycznym — wyradzając się nawet miejscami w karykaturę zdrowego konserwatyzmu Mimowoli nasuwają się tutaj reminiscencje z Kiplinga „Stalky i Ska", zwłaszcza ostatnich stron. Książka pisana bezpośrednio i ze świeżością uczucia, daleka od snobizmu trzymania na wodzy bardziej romantycznych strun duszy. (ST. J.)

OFENSYWA

IBERIA TACET

TYSIĄC szajgeców - szengajstów dzień w dzień pisze we wszystkich językach świata o upadku w Niemczech hitlerowskich sztuki, literatury, dziennikarstwa. W jednym tylko naszym „Robotniku" (który z powrotem jest w całem tego słowa znaczeniu Rebe-tnikiem na codzień, a tylko na Niedzielę nieco Niedziałkowskim) czytało się o tem ze sto notatek przez lokalnych streptokoków wciśniętych.

Niema żydów, to niema kultury, literatury, sztuki, muzyki, teatru i wogóle niczego, a prasa nudna, jak cholera *morbus*. Dziesięć procent w tem prawdy tkwi, ale tylko 10%. Tymczasem szengajsty-szajgece upierają się przy tem, że 99%. Niema Reinharda, to niema teatru dobrego. A tymczasem Reinhard *pro primo* jeszcze przed Hitlerem kompletnie zbankrutował finansowo i budy jedną po drugiej zamykał, *pro secundo* wszystkim już doszczętnie się znudził, a *pro tertio* wystawiał ostatnio już przeważnie operetki (Offenbacha). Prasa była oczywiście ciekawszą za Wilhelma, niż za Hitlera, gdyż izraelity, jako nomady, są istotnie narodem prasowym i w dziennikarstwie pływają jak szczupaki, podczas gdy Europejczycy jak karpie (Lechici jak żaby). W literaturze zaś istotnie daje się odczuwać wielki zastój i stagnacja. Ubyli pisarze pikantni, pieprzni, drażniący, podniecający *sex appeal* i *auri sacra fames*, Freudyści (psychoanaliza), obrońcy homoseksualizmu, orędownicy pederastji, entuzjaści perwersji, ci sami, którzy teraz gromy ciskają na Hamana za to, że wypalił gniazda zwolenników i uczniów berlińskich seksuologów.

W literaturze niemieckiej panuje więc pewna stagnacja, taka sama, jak w faszystowskiej Italji, prawie taka sama, jaka daje się już (we znaki) odczuwać w Sowietach, no i powiedzmy sobie szczerze, omal taka sama, jak we Francji, Anglji, Skandynawji, Stanach Zjednoczonych i t. p. Literatura agonizuje na całym globie. Ustępuje przed radjem, sportami, kulturą fizyczną, bezrobociem, proletarjatem, wodą, powietrzem i przed nadchodzącą Wielką Gazową.

Piszą tam sobie Niemcy oczywiście nadal, ale to wszystko widocznie nie kwalifikuje się na eksport, musi być jakieś wyłącznie regjonalistyczno-patrjotyczne i dla reszty Europy nie frapujące. Ponieważ zaś i na ten towar niema reklamiarzy-komiwojażerów, więc nic się o tej literaturze rasistowskiej nie słyszy, bo i nie chce słuchać. Produkcja na domowy użytek, *pro foro interno*, coś tak widocznie, jak nasze Rusinki i Morcinki.

A jak przedstawia się sprawa w państwie, do którego z powrotem żydów zaproszono i na który trzy lata temu wielkimi chmarami opadli?

O tem pisze ciekawie autentyczny Hiszpan Jose M. Serrano Valerio w organie warszawskich *pistolleros*, takim jak w Madrycie: *„Sol"*, *„Lur"*, *„Voc"*... Okazuje się, że wprost tak samo, bliźniaczo podobnie. Tam znów od przewrotu 14 kwietnia 1931 doszli do głosu i władzy ludzie z taką samą ideologją jak nasi, tylko że jeszcze — parlamentarniki. Radykały na dorobku. Masony dopuszczone do kas i żłobów. Wrogowie Watykanu a przyjaciele Sanhedrynu. Tylko się Republika ustaliła i „okrzepła", wraz otwarto wszystkie drzwi i furtki dla żydów z całej Europy. Niemiecki żyd z Toledo dr. Maximo Kahan zaraz odwiedził ministra spraw wewnętrznych (marrana) i potem obwieścił prasie, co przetelefonowano na cały globus:

„W rozmowie z ministrem poruszyłem przedewszystkiem sprawę wolności religijnej. Jest bowiem jasne, że tylko wówczas, gdy nowa republika weźmie się poważnie do nieograniczonej dotąd władzy Kościoła, żydzi będą mogli powrócić do Hiszpanji. Już na drugi dzień rewolucji, odpowiedział mi na to minister, oświadczyliśmy, że pierwszem zadaniem wszystkich nowych urzędników będzie obrona osobistej wolności każdego obywatela i niedopuszczanie do naganek (?) religijnych. Trzeciego dnia rewolucji zasada ta została już urzeczywistniona w drodze prawodawczej"...

Tak w kwietniu r. 1931 zapewniał żyda z Toledo hiszpański minister, zresztą już w rok potem przepędzony do wszystkich djabłów. Ale obietnicy danej Kahanemu dotrzymano. Madryccy Rzymowscy i barcelońskie Hulki miały dwa lata karnawału. Kościoły i klasztory palono, a terror, mordownia i rzezie bratobójcze szalały co się zowie.

A jak tam było z literaturą i sztuką przez te trzy lata karnawału hiszpańskich Hulków, Rzymowskich, Lepeckich, Pobóg - Kawałkowskich, Jędrzejowiczów, „Brodzkich", „Wazowskich", „Jabłowskich" *et tutti franti?*

Poprostu zmartwiała. Za króla, i to Alfonsa, i do tego XIII jeszcze, bogata, wspaniała, wielostrunna, dynamiczna, agresywna we wszystkich kierunkach, Nobliwa (nagrody Nobla), pełna talentów i idej; za obu dyktatorów jeszcze pełna rozmachu i rozpędu, i w kraju i na emigracji. Po przewrocie, po dojściu do władzy tych wszystkich przyjaciół... Unamuna, Ibaneza, Ortega y Gasset, Baroji.., poprost zaniemówiła, osłupiała, zdrętwiała, straciła głos, zachrypła i wycofała się. Trzechletni *régime* radykalji, wśród której przeważała radykanalja masońska, poprostu sparaliżował piśmiennictwo hiszpańskie.

Jose Serrano M. Valerio w War - Shaw - skim „Kurjerze Porannym" pisze o tem:

„Republika posłużyła za pretekst do stworzenia literatury o podłożu namiętności politycznych, pozbawionej jakiejkolwiek wartości artystycznej"...

„Jest to literatura chwili, są to studja dorywcze, opisy biograficzne (Pobóg-Kawałkowski?) i traktaty polityczne pseudo-naukowe... Uderza z niej czytelnika zgrzyt nieszczerości i egoizm partyjny... Spotykamy na każdym kroku książki, mające na celu bądź to walkę i szerzenie nienawiści politycznej („Mateusz Bigda", paszkwile Rzymowskiego...?) bądź też wyszukujące naprędce pochwały dla jakiejś wpływowej osobistości (*tous comme chez nous*) lub knujące intrygi przeciwko innej, niepożądanej osobistości, ubiegającej się w danej chwili o władzę (..paszkwile na Dmowskiego, Hallera, Rozwadowskiego, Szeptyckiego, Paderewskiego, Korfantego, Trąmpczyńskiego?...)"...

A dalej pisze Josee Serrano M. Valerio („Kurjer Poranny"):

„Wystawy księgarń są dziś wyłącznie na usługach polityki. Pomiędzy jaskrawemi okładkami książek politycznych zrzadka spotyka się dzieło o pewnej wartości".

„Probowano, lecz bez skutku, stworzyć powieść aktualną, opartą na wydarzeniach 14 kwietnia (13 maja gdzieindziej...), ukazały się utwory płytkie, pozbawione wartości, szukające przedewszystkiem drogą sensacji rynków popularnych"...

...„Literatura pogrążona jest w odmętach polityki"...

...„I scena hiszpańska znosić musiała sztuki, finansowane dla określonych celów politycznych"...

...„Był to teatr oportunistów, o słabej strukturze, który już zbankrutował"...

...„Zasięg pisarzy młodej poezji okazał się mniejszy, niż tego należało się spodziewać. I naturalnie interesują się nią jedynie skromne mniejszości, szeroki ogół nie czyta wierszy młodych poetów".

„Cała literatura jest na usługach polityki, która ją hańbi i poniża. A sztuka śpi"...

Takie zdaje relacje Hiszpan z „Kurjera Porannego". I tak jest istotnie. Wpuścili *juderii* całe stada. Oddali żydom Synagogę w Kordobie zamkniętą od r. 1391. Oddali marranom i żydom (nawet z Polski i z Rosji) część prasy i kontrolę wychowania młodzieży. Teatry grały na wyścigi „Żydówę" Halevyego, „Nabuchodonoda" Verdiego, „Uriela Acostę" Gutzkowa i Lessinga: „Natanson der Weisse"... Zaproszono Trockiego (Bronstejna), Herzoga („Maurois"), Emila Ludwiga (Cohna), Myriam Harry, „Lecache'a", Ascha, Basha, Erenburga. Hiszpanie wzajamnie wystrzeliwali się i wysadzali w powietrze. W parlamencie bili się „po pyskach" prof. Albinaz z wiceministrem Indalecio Prieto, siostry miłosierdzia i zakonnice obrzucano kamieniami i opluwano, stare bibljoteki klasztorne oblewano naftą (sowiecką) i podpalano, Barcelonę poszczuto na Madryt, a żydowskie korespondenty (szajgece-szengajsty) właśnie tę fazę bratobójczą, te konwulsje hiszpańskie wychwalały w całej prasie „wszechświatowej" jako El Dorado postępu i kultury... bo na pomniku Don Kiszota, był nasmarowany napis *„Vota al Comnista"!*

Nic nowego już nie dali i „starzy". Zamilkli świetni nowi kompozytorzy. Nieczynni rzeźbiarze i malarze... Niema nawet nowych tańczących *gitanas à la Argentina...*

Stwierdzają to także i francuscy espanofile, Miomandre i Montherlant. *Iberia non cantant... canzones.*

A żydy są. Z powrotem są.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

W sanacyjnym „Expressie Porannym" niejaki p. Uniłowski z wielkiem przejęciem użala się nad surowym systemem, jaki w więzieniach stosują u nas do pospolitych przestępców i zbrodniarzy. Humanitarny dziennik bije na alarm, odwołuje się do serc tkliwych, w płomiennych słowach żąda lepszego traktowania, większej względności.

Jeden jest tylko jasny promień na tym ciemnym, ponurym obrazie: obóz izolacyjny w Berezie Kartuskiej. Tym, jak wiadomo, „Express Poranny" jest entuzjastycznie zachwycony, podobnie jak humanitarne żydy z „Cyrulika"...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM